

BRULITEGA
UMCS
LUBLIN

KAMENIA

LUBLIN 5 V 1974 Nr 9 (547)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

**BĄDŹCIE DLA NAS
DOBRE NA WIOSNĘ**

St. Harasimiuk str. 6

CO WOLNO NIEMENOWI...

Jacek Grün str. 12

REWIZOR(KA)

Pom str. 10

LUBELSKIE ma je trzydziestolecia! Zwykle słoneczne, ciepłe i zielone, otwierane tradycyjnie wielką manifestacją w dniu Święta Pracy — wielotysięcznym, barwnym pochodem, mającym już swoją długą i bogatą historię w Polsce Ludowej. Tak, tak — ani się obejrzeliśmy, a już na czele 1-majowej kolumny maszerują dzieci tych, którzy w dowodach osobistych mają wpisaną datę urodzenia: 1 maja 1945 r.! Trzydzięści tych samych uroczystości, a jednak każda z nich trochę inna, posiadająca własną specyfikę, nastrój, wymowę...

Zakopiańskie ucho prezesa

Ireneusz J. Kamiński

— Szukać należy pana Karola w restauracjach. Pan Karol to prawdziwy „parasol”, czyli kelner doskonały, a taki wie wszystko, wszędzie pana wprowadzi. Nie, lepiej nie mówić o swoim zawodzie, bo i po co? Żeby się „zamurował”? Chyba nie o to panu chodzi, prawda? — poinstruował mnie przed wyjazdem do Zakopanego pracownik lubelskiej gastronomii,

Dokończenie na str. 7

LUBELSKIE MAJE XXX-lecia

Mirosław Derecki

1 Maja 1945 r. w Lublinie. Święto robotnicze obchodzone pierwszy raz w historii Polski jako święto oficjalne, państwowe. Nastrój tym bardziej podniosły, że oto kończy się wojna. Przed czterema dniami salut artyleryjski oddany w Moskwie z 324 dział obwieścił o spotkaniu Armii Czerwonej z armią anglo-amerykańską w samym sercu środkowych Niemiec, małym saksońskim miasteczku — Torgau. Na ulicach Berlina dogasają ostatnie walki. Wkrótce przez całą szerokość gazetowych kolumn pobiegła złożone największymi członkami tytuły: „Berlin zdobyty” a w parę dni później — „Całkowita kapitulacja Niemiec”.

W Lublinie życie powoli wkracza na normalne, pokojowe tory. Skończył się barwny, emocjonujący okres „Polski Lubelskiej”, instytucje rządowe przeniosły się do wyzwolonej Warszawy. Miasto zaczyna się powoli odbudowywać, stabilizować.

Zakończyły się właśnie przed kilku dniami egzaminy dojrzałości dla absolwentów z czasów okupacji. Zgłosiło się do nich 94 kandydatów z liceów: mechanicznego, chemicznego, budowlanego, mierniczego, elektrycznego i... budowy okrętów (!).

Na Uniwersytecie im. Marii Curie-Skłodowskiej wprowadzono wykłady z wychowania demokratycznego, na których omawiane są zagadnienia gospodarcze, społeczne i polityczne.

Dokończenie na str. 8-9



Fot. W. Stępieł

WARSZAWIE zakończyły się obrady Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego. To doniosłe wydarzenie skupiło na sobie uwagę światowej opinii publicznej.

Obrady zakończyły się uchwaleniem wspólnego komunikatu oraz trzech oświadczeń, dotyczących sytuacji na Bliskim Wschodzie, w Wietnamie oraz w Chile.

Na pierwszy plan komunikatu wysuwa się apel do wszystkich zainteresowanych państw o uwięzienie sukcesem Konferencji w sprawie Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie będącej wspólnym dziełem wszystkich narodów i rządów krajów europejskich.

Cofnijmy się nieco w czasie.

Jest grudzień 1964 roku. Na XIX Sesji Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych dyplomacja polska występuje z projektem zwołania europejskiej konferencji (z udziałem USA), poświęconej problematyce bezpieczeństwa i pokoju. Inicjatywa naszego kraju spotyka się z pełnym poparciem na naradzie Doradczego Komitetu Politycznego Państw — Stron Układu Warszawskiego, która w styczniu 1965 r. odbyła się w Warszawie.

Lipiec 1966 r. Bukareszt. Kolejne posiedzenie Doradczego Komitetu Politycznego. Finał: podjęcie wspólnej deklaracji w sprawie umocnienia pokoju i bezpieczeństwa w Europie. W oparciu o inicjatywę polską Doradczy Komitet Polityczny występuje z konkretnym planem działania, mającym na celu zasadniczą poprawę klimatu politycznego, rozwinięcie pokojowej współpracy i zapewnienie bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

Kwiecień 1967 r. Karlowe Vary. Narada partii komunistycznych i robotniczych Europy. Oświadczenie, przyjęte na zakończenie obrad głosi m. in.:

My, przedstawiciele partii komunistycznych i robotniczych Europy zebrań w Karlowych Varach, świadomi odpowiedzialności, jaka na nas spoczywa za przyszłość naszych narodów i interesy międzynarodowej klasy robotniczej, uważamy zachowanie pokoju za sprawą nadrzędną dla wszystkich narodów naszego kontynentu.

I wreszcie marzec 1969 r. Budapeszt. Doradczy Komitet Polityczny Państw — Stron Układu Warszawskiego kieruje apel do wszystkich krajów Europy.

W ciągu kilku lat, które minęły od wysunięcia propozycji w sprawie zwołania konferencji ogólnoeuropejskiej, żaden rząd europejski (poza Albanią),

nie wystąpił przeciwko tej Idee. Finlandia, kraj neutralny, zapowiedziała udzielenie gościnny uczestnikom konferencji.

Inicjatywa krajów socjalistycznych była więc jak najbardziej na czasie. Nic dziwnego: po drugiej wojnie światowej — na co słusznie zwrócono uwagę w Apelu Budapeszteńskim — państwa Europy jeszcze ani razu nie zebrały się wszystkie razem, chociaż liczne problemy oczekują na rozpatrzenie przy stole konferencyjnym.

dzio dotarł krok na drodze rozładowania napięcia i normalizacji sytuacji w Europie. NRF uznała granice ukształtowane w wyniku II wojny światowej, zobowiązała się przestrzegać zasady rozwiązywania sporów wyłącznie za pomocą środków pokojowych bez stosowania siły lub groźby jej użycia. W ten sposób NRF zbliżyła swe stanowisko do stanowiska krajów socjalistycznych. Nie oznaczało to jednak bynajmniej, by najbardziej agresywne siły imperializmu niemiec-

świata i wszystkie postępowe, demokratyczne, antyimperialistyczne, miłujące pokój siły, zdolają zwyciężyć i obronić swoje podstawowe interesy oraz zapewnić poszanowanie prawa każdego narodu do decydowania o swoim losie.

Właśnie dlatego, że siły imperializmu i reakcji nie złożyły broni — płynący z Warszawy apel Doradczego Komitetu Politycznego zwraca się nie tylko do rządów, ale i do narodów mobilizując ich czujność.

Oczywiście problemy, które znajdują się w centrum dyskusji na II etapie konferencji w Genewie, nie należą do łatwych. Padają propozycje często zupełnie przeciwstawne, niekiedy wręcz wykluczające się nawzajem. Obowiązuje zasada zgody wszystkich, nie może więc być podjęta żadna decyzja, jeśli chociaż jeden uczestnik obrad na nią się nie zgodzi; trzeba krok po kroku szczegółowo uzgadniać, dokładnie precyzować każde uzgodnienie, każde sformułowanie.

Tu i ówdzie daje się odczuć, iż niektórzy przedstawiciele Zachodu dążą do tego, aby konferencja ugrzęzła w labiryncie słów. Taktyka zwlekania, przeciągania po to tylko, aby osiągnąć jednostronne korzyści, z góry jest skazana na fiasko.

Uczestnicy warszawskiego „szczytu” zdają sobie sprawę z wszystkich piętrzących się trudności i wcale ich nie negują. Ale jednocześnie patrzą nie w przeszłość, lecz w przyszłość, uważają, że przy opracowywaniu dokumentów w Genewie należy kierować się perspektywami nowego etapu. Ten nowy etap ma właśnie otworzyć Wielka Kartka Pokoju Europejskiego. Chcąc nadać konferencji odpowiednią wagę, Doradczy Komitet Polityczny proponuje, aby zamknięciem prac konferencji było spotkanie na najwyższym szczeblu i uroczyste podpisanie przyjętych dokumentów.

Warto zwrócić jeszcze uwagę na to, że uczestnicy warszawskiego „szczytu” zgłosili gotowość rozwiązania Układu Warszawskiego lub przynajmniej likwidacji jego organizacji wojskowej, jeśli to samo uczyni Pakt Atlantycki. Nie jest to propozycja nowa, ale dzisiaj, w obecnym klimacie międzynarodowym, nabiera ona szczególnego znaczenia.

Europa stoi przed wielką szansą. Sukces konferencji w Genewie może tę szansę urzeczywistnić. Już nie tylko w interesie obecnego pokolenia, ale i w interesie tych pokoleń, które przyjdą po nas.

Szansa dla Europy

Jeśli za punkt wyjścia przyjmuje się utrwalenie pokoju, nie ma żadnych ważnych przyczyn zwlekania ze zwołaniem ogólnoeuropejskiej konferencji.

I dalej: Dla narodów europejskich, życiową koniecznością jest zapobieżenie nowym konfliktom wojennym, umocnienie więzi politycznych, gospodarczych i kulturalnych między wszystkimi państwami na zasadach równości, poszanowania niezawisłości i suwerenności państw. Trwały system bezpieczeństwa europejskiego stwarza obiektywną możliwość i potrzebę realizacji wspólnymi siłami wielkich projektów w dziedzinie energetyki, transportu, wykorzystania obszarów wodnych i powietrznych oraz ochrony zdrowia, projektów bezpośrednio dotyczących dobrobytu ludności na całym kontynencie. To wszystko może i powinno stać się podstawą współpracy europejskiej.

Zanim doszło do rozmów przygotowawczych oraz do I etapu konferencji w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie nastąpiło szereg ważnych wydarzeń. Przede wszystkim należy do nich zaliczyć zawarcie układów między ZSRR a NRF oraz między Polską a NRF. Stanowiły one bar-

kiego zaniechały swej zaborczej polityki. Normalizacja stosunków między NRD a NRF natrafiała też na szereg przeszkód. Jednak i tutaj nastąpił poważny przełom. Porozumienie czterech mocarstw w sprawie Berlina Zachodniego ten przełom ułatwiło.

Już w trakcie trwania I etapu i II etapu konferencji, której po Helsinkach udzieliła gościnny Genewa, uległy normalizacji stosunki między Czechosłowacją, Węgrami, Bułgarią a Niemiecką Republiką Federalną.

Należy ten fakt odnotować, ale jednocześnie nie wolno nie doceniać przeszkód, które ciągle jeszcze piętrzą się na drodze do odprężenia sytuacji w Europie. Przeciwnicy odprężenia międzynarodowego — głosi komunikat z ostatniej narady warszawskiej — zwolennicy „zimnej wojny”, siły imperializmu i reakcji nie złożyły broni i usiłują zahamować oraz przeciwdziałać procesom odprężenia, które odpowiadają dążeniom narodów. Kola militarystyczne dążą do aktywizacji NATO, nadal zwiększają budżety wojskowe krajów tego zamkniętego imperialistycznego bloku wojskowego. Państwa — Strony Układu Warszawskiego są jednak głęboko przekonane, że narody

W którym żyjemy

POLOWANIE NA SPORTOWCÓW

ZA największy talent współczesnej koszykówki w USA uznano 17-letniego Alfreda Lee, który skończył szkołę średnią. Nic dziwnego, że z kolei on stał się obiektem prawdziwych polowań ze strony trenerów, zatrudnionych przez kluby uniwersyteckie. W ciągu dwóch miesięcy dostał około 300 propozycji. Wszystkie w mniej lub więcej zakamuflowany sposób ofiarowały mu znakomite warunki. Nie jest bowiem tajemnicą, że dla pozyskania dobrych sportowców używa się wszelkich środków bez względu na to, czy są one legalne i etyczne. Omija się przepisy w sprawie przyjęć, ofiarowuje nie przysługujące stypendia, gwarantuje się zdanie egzaminów, „wypożycza” się do prywatnego użytku samochodu, bywa, że „przydziela” się dziewczęta.

Pewien profesor z uniwersytetu w Ohio, który nie zgodził się na opublikowanie swego nazwiska, wyznał dziennikarzowi:

„Przez długi czas sport był traktowany na naszych uczelniach jak każdy inny przedmiot. Teraz jednak coraz bardziej zdecydowanie zajmuje pierwsze miejsce. Np. na uniwersytecie w Nebraski trener piłki nożnej otrzymał oficjalnie 125 tys. dolarów, aby skaptować na studia piłkarzy, mogących utworzyć dobrą drużynę. Mniejsze uczelnie dają po 75 tys. dolarów. Trenerzy najczęściej zarabiają więcej niż rektorzy, a ich pomocnicy więcej niż profesorowie. Niewtajemniczonym warto wyjaśnić, że w ten sposób zwiększają się budżety uczelni — wśród milionerów jest wielu zwariowanych kibiców, któ-

rzy przekazują uniwersytetom poważne dotacje, jeżeli ich ekipy sportowe odnoszą sukcesy. Nie są to jednak fanaberie bogaczy. Takie dotacje bowiem wpływają na poważne obniżenie podatków płaconych przez milionerów i w rezultacie im także oplaca się taka rzekoma hojność”.

REKRUTACJA



Poczty wydało wielki afisz propagandowy w kształcie dużego znaczka. Z jednej strony wydrukowano warunki przyjęcia oraz mniej lub więcej prawdziwe korzyści dodatkowe, jakie czekają na kandydatów. Z drugiej natomiast strony zamieszczono fotografię prawie całkiem rozebranej kobiety, aby — jak oświadczone oficjalnie — zachęcić kandydatów.

Ta fotografia stała się przyczyną interwencji w parlamencie i na żądanie posłów postanowiono wycofać z obiegu ów afisz. Ale było za późno. W samej tylko dyrekcji poczt w Norymberdze 200 tys. tych afiszów zostało już rozdanych (bezpłatnie).

REHABILITACJA PODWIĄZEK

WRAZ z nawrotem mody z lat trzydziestych do łask powracają również damskie podwiązki. Wiele kobiet w wieku do lat 30 nigdy ich dotąd nie nosiło i im najtrudniej będzie przyzwyczaić się do noszenia podwiązek — pisze w ostatnim numerze „Paris-Match”. — Tymczasem we Francji i Anglii produkcja podwiązek wzrasta co miesiąc przynajmniej o 15 procent. Jak dawniej dużym powodzeniem cieszą się czarne i białe, ale ostatnio klientki wolą pomarańczowe i piaskowe.

Chwilowy zanik popytu na podwiązki spowodowała moda na spódniczki i sukienki mini. To prawda, że w oczach męskich podwiązka zawsze była — i jest nadal — urokliwym atrybutem kobiecości. Figura kobiety przy zapinaniu lub odpinaniu podwiązek, niby pełna nonszalancji, jest jednak w swojej istocie uwodzicielska. Noszenie jej w okresie panowania mody mini byłoby rzeczywiście śmieszne i nieestetyczne. Ale moda ta już przeminęła, a wraz z nią nastąpiła rehabilitacja tego atrybutu kobiecości.

Angielska firma „Chesterfield” w ciągu dwóch lat zwiększyła dwudziestokrotnie produkcję podwiązek. Propaguje je na wszelkie sposoby: paryski dom mody Diora, ostatnio także Saint-Laurenta. Znana aktorka Catherine Deneuve wyznała, że nigdy nie przestała nosić podwiązek. Antoine Blondin kończy pisać dla najświetniejszego wydawnictwa „Juliard” książkę o historii podwiązek i korzyściach, jakie w sferze fizycznej i psychicznej zyskują noszące je kobiety.

ROZNIEMOŻNA patrzeć na złotówki. Także i na te, którymi co pewien czas podpisujemy zobowiązania produkcyjne załóg. Niezależnie od różnych form tych zobowiązań w przeszłości, stanowiły one zawsze konkretny wkład w naszą gospodarkę. Efektem bezpośrednim było zwiększanie w ten sposób dochodu narodowego. W formie pośredniej zobowiązania wpływały w jakimś stopniu na ogólne zwiększenie wydajności pracy.

Rzecz jednak w tym, że pojedynczy obywatel nie odzyskiwał we własnym przekonaniu — nie zawsze zresztą zgodnie z prawdą obiektywną — pozytywnych wyników realizacji tych zobowiązań. Wynikało to z dwóch istotnych przyczyn. Po pierwsze: z nieprawidłowego ułożenia wskaźników, charakteryzujących rozwój społeczno-gospodarczy kraju. Np. w poprzedniej pięcioletce dochód narodowy zwiększył się wprawdzie o 34 proc., natomiast płace realne w tym samym okresie tylko o 3 proc. Tak więc zwiększenie się płac realnych średnio o 1,5 proc. rocznie było wprawdzie ewidentne dla statystyk, ale ograniczając się miesięcznie do 29 czy 30 złotych — w życiu praktycznym jednak posiadało ono znaczenie czysto symboliczne. W każdym zaś razie było zjawiskiem jakiegokolwiek charakteru bodźcowego.

Sytuacja w bieżącej pięcioletce jest diametralnie inna. Trzy ubiegłe jej lata charakteryzują się niezwykłą dynamiką we wszystkich dziedzinach naszego życia. Jeżeli taką dynamikę utrzymamy do końca roku przyszłego, a przecież wszyscy możemy i chyba chcemy ją jeszcze zwiększyć, dochód narodowy w tej pięcioletce wzrośnie o 50 proc., a płace realne o ponad 30 proc. — przy czym ponad dwie trzecie tego ostatniego wzrostu mamy już w kieszeni. Myślę, że właśnie dlatego na tegoroczne zobowiązania, podjęte już w naszym województwie z okazji 30-lecia PRL w wysokości prawie 2 miliardów złotych, należy patrzeć inaczej niż to dawniej bywało.

Zarówno dzięki codziennej, coraz bardziej wydajnej pracy, jak również zobowiązaniom, w znacznym stopniu łagodzącym występujące jeszcze tu i ówdzie napięcia w pokryciu zapotrzebowania na niektóre artykuły — mogliśmy wprowadzić zasadę stałego wzrostu funduszu płac. Był on w poprzednich okresach objęty tak wielkimi restrykcjami, że w niektórych dziedzinach trwał niezmienny dziesięć i więcej lat. Wraz z przechodzeniem na nowe zasady gospodarowania i uzależnieniem funduszu płac nie od wskaźników dyrektywnych, ale od produkcji dodanej, rośnie ten fundusz w tempie dotychczas nieznanym. Uchwała VI Zjazdu przewidywała, że podwyżkami płac w bieżącym pięcioletciu zostanie objętych 4,6 mln pracowników — tymczasem po trzech latach objęła ona już 6,4 mln osób. Stanowi to dwie trzecie ogółu zatrudnionych w gospodarce społecznej, w naszym województwie około 260 tys. osób. A z postanowień I Krajowej Konferencji PZPR wiemy, że do końca pięcioletki podwyżki i regulacje płac obejmą każdego pracownika.

Jednym ze źródeł wzrostu dochodu narodowego, a w konsekwencji także wzrostu realnych dochodów, są inwestycje. Ale tylko jednym ze źródeł — nie jedynym. Ta prawda ekonomiczna nie była jednak zbyt powszechnie dostrzegana i to na wszystkich szczeblach. Stąd też w wielu minionych latach notowaliśmy bardzo wysoki udział inwestycji w naszej gospodarce, jednak temu udziałowi nie towarzyszył stosunkowo odpowiedni wzrost dochodów. Po prostu inwestycje nie były w należyty

sposób wykorzystywane, nie mówiąc o zbyt długim cyklu ich realizacji i innych mankamentach. To powodowało, że zarówno w planowaniu jak i realizacji planów gospodarczych najczęściej przyjmowano metodę defensywną: rygorystyczne ograniczanie funduszu płac.

Po VII i VIII Plenum KC PZPR strategię defensywną zamieniliśmy na ofensywną. Plany gospodarcze zostały ściśle połączone z celami społecznymi, a rozwój całej gospodarki ze wzrostem stopy życiowej. Zadaniem produkcji stało się prze-

mogły również warunki atmosferyczne, ale przede wszystkim jest to wynikiem nowej polityki rolnej, lepszego zaopatrzenia rolnictwa i tu również zwiększonej wydajności pracy, związanej organicznie ze wzrostem opłacalności także w tej dziedzinie gospodarki.

Jednak cudów nie ma, nawet w gospodarce. Trzeba powiedzieć jasno, co nie wszyscy chcą czy umieją dzisiaj dostrzegać, że nasze dzisiejsze osiągnięcia są również efektem pracy całego trzydziestolecia. Potencjał gospodarczy naszego kraju, tysiące mniejszych i większych inwestycji rosły przez wszystkie lata niepodległości. Nowy, szeroki, nawet szerszy niż kiedykolwiek front inwestycyjny rozwinęliśmy dopiero w ostatnich dwóch latach i mimo poważnego skrócenia cyklu budowy dopiero część z tych inwestycji weszła do potencjału wytwórczego — większość wciąż jeszcze trzeba finansować. A przecież mimo to nie odczuwamy ciężaru tych inwestycji, nie wahamy się w podejmowaniu dalszych, jeżeli ich istnienie okazuje się rzeczywiście potrzebne.

Rzecz polega na tym, że potrafimy dzisiaj znacznie bardziej efektywnie wykorzystywać posiadane środki produkcji. Zarówno w sferze ilości jak i jakości oraz różnorodności. Zdobywcą współczesnych dni jest to, że coraz lepsze, coraz pełniejsze wykorzystanie posiadanego potencjału jest wynikiem nie nakazów czy zakazów typu administracyjnego, nie apeli, których zasięg jest jednak ograniczony — ale czynników ekonomicznych jak i bytowo-społecznych. Postawiliśmy na trudny do zadekretowania w planie czy sprawozdaniu, ale jak się okazuje decydujący czynnik — człowieka. I nie jest to slogan. Albowiem naszym celem stała się nie produkcja sama w sobie, lecz zaspokojenie bardzo szeroko rozumianych potrzeb konsumpcyjnych i społecznych, potrzeb indywidualnych i zbiorowych, potrzeb już nie tylko podstawowych, ale i występujących u coraz bardziej zasobnych i wymagających społeczeństw.

W bieżącej pięcioletce już podjęte decyzje płacowe będą wymagały wydatkowania 44 miliardów złotych, z tego 14 miliardów w roku bieżącym. Odpowiednie władze administracyjne oraz związki zawodowe głowią się właśnie nad ustalaniem szczegółów regulacji płac oraz terminami ich wprowadzania w życie. Ale to już strona techniczna. Niepomniernie ważniejszą sprawą jest to, aby wszyscy, dosłownie wszyscy zrozumieli, że polityka wzrostu płac wymaga stałego postępu w wydajności i jakości pracy każdego z nas. Nie chodzi przecież o wzrost płac sam w sobie, ale o to, aby za zwiększone dochody można było kupić więcej i lepszych towarów. A więc o efektywność pracy. *Od efektywności gospodarowania — stwierdził na Krajowej Naradzie Gospodarczej Edward Gierek — w wielkim stopniu zależy kluczowa sprawa (...) zabezpieczenia rynku w towary. Nie ma w 1974 roku ważniejszego zadania społeczno-gospodarczego.*

Praktyka pokazuje, że przez wykorzystywanie wciąż jeszcze niemalych rezerw tkwiących w ludziach i maszynach, w organizacji pracy i postępie naukowo-technicznym możemy dostarczyć na rynek ponadplanowe ilości poszukiwanych towarów. Te rezerwy tkwią tak w już posiadanych możliwościach wytwórczych, jak i inwestycjach, które właśnie wchodzi do planu. Od nas zależy, w jakim stopniu je wykorzystamy, a więc i jakie sobie przygotowujemy jutro.

KLUCZOWA SPRAWA



1974 roku

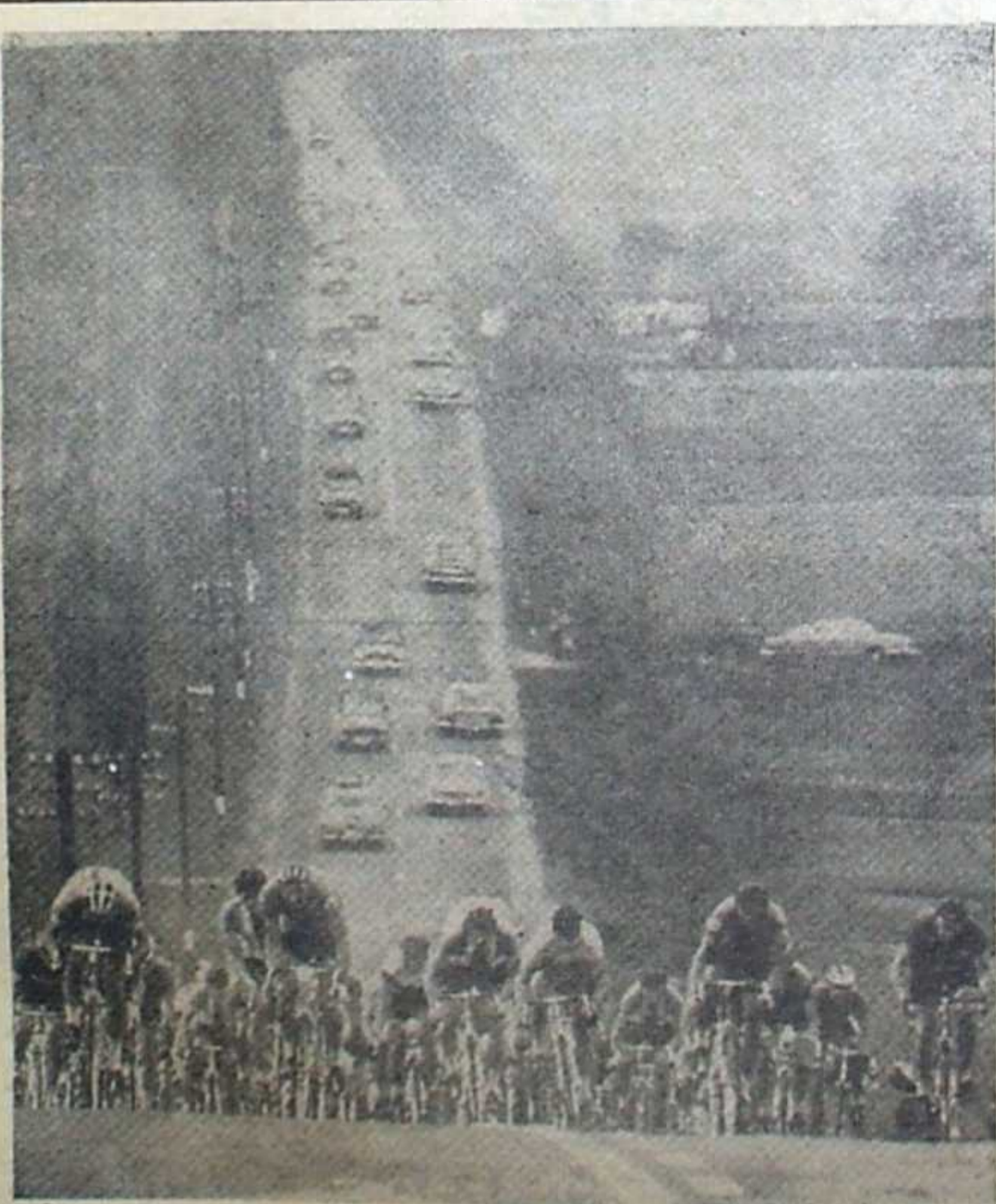
Jerzy Dostatni

de wszystkim coraz lepsze, ilościowo i jakościowo, zaopatrzenie rynku. Równowagę rynkową zaczęliśmy regulować nie zahamowaniem wzrostu płac, ale zwiększaniem produkcji. I ta nowa strategia procentuje coraz bardziej obficie. Kilka przykładów za ostatnie trzy lata podał na początku. Dziś już mamy pewność, że nie był to ani jednorazowy, ani krótkotrwały zryw. Ot — choćby kilka danych bardziej szczegółowych za rok poprzedni. Planowaliśmy w przemyśle wzrost wydajności pracy o 5,7 proc. — osiągnęliśmy 9 proc., w budownictwie o 6,7 proc. — zanotowaliśmy 12,2 proc. Tak samo udział wydajności pracy we wzroście produkcji był znacznie wyższy od planowanego, osiągając 76,7 proc., średnia miesięczna płaca była o 11,1 proc. wyższa, niż to zakładano. Wartość produkcji rolnej wzrasta rocznie średnio o około 6 proc. — równo dwa i pół raza więcej, niż w poprzednim dziesięcioleciu. Prawda, że po-

Edmund Pietryk

POWRÓT

I znów stoję na progu tej po raz pierwszy kiedyś zasłyszanej baśni
 jest w tym coś z echa dawnego festynu
 jak zimą jaskółka jest ptakiem w czasie przeszłym
 jesteś ziarnem dla siebie upatrzonej gwiazdy
 w pościgu za smutkiem nie znanych ci ludzi
 to zdanie układa się w wieczną bezsenność
 jak chmur pelżanie jest drogą bez celu
 i miałem kilka naocznych miłości
 ta odebrała mi szybkość oddechu
 ta miała skryte zamiary jak deszczowe chmury
 wspomnienia palone są gryzącym wapnem
 w strachu przed epidemią w dni nowych upałów
 lecz ciągle robią dowcipy zmartwychwstań
 moje po kilka razy urojone groby
 jesienią w mym sercu więcej niż czerwono
 gdzie pola podpalone kwiatem słonecznika
 to egoizm który chce śmierci ściśle własnej
 i tak mocnego życia pierwsze zapowiedzi
 a teraz popołudnia jałowe ścierniska
 i w listopadzie nieba płucna odma
 topią się w świtu puchnących źrenicach
 życie moje się kurczy bardziej jednodniowe
 jak wiersz prawdziwy nigdy nie da się ośwoić
 bo nadzieja dziecka zawsze jest na czatach
 przez ogień tylekroć do sparzeń wzniecany
 zawsze będziesz w okolicy swych prawdziwych źródeł
 i nigdy już nie umkniesz swojemu dzieciństwu
 kolejny samotny żeglarz
 w oceanicznych regatach liryki



Fot. Archiwum

KTO W TYM ROKU?

WZESZLYM roku obchodziliśmy jubileusz 75-lecia Towarzystwa Muzycznego im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie. Młoda generacja ma do wszelkich jubileuszów stosunek raczej ostry. Ale ta uroczystość była nawet wręcz lokalna, skoro zajęła się nią telewizja, zaś Jerzy Waldorff znalazł okazję do takiego oto wyznania:

„Muzyka łagodzi obyczaje — słowa owe powiedział był Arystoteles w wieku IV p.n.e., ani przypuszczając, jak świeżej aktualności nabiorą w tym strasznym XX stuleciu, wypełnionym najkrwawszą z wojen, naznaczonym posuwającym się z dziesiętnym obyczajów wśród tylu narodów ziemi. Dlatego każde ludzkie zreszczenie, walczące przy pomocy muzyki o ratunek świata przed moralną zagładą, godne jest otoczenia szacunkiem. Cóż dopiero jeśli — jak Towarzystwo Muzyczne im. Henryka Wieniawskiego w Lublinie — walczy o łagodzenie obyczajów już od 75 lat! Z okazji jubileuszu życzyć mu tylko stu lat działalności byłoby aktem małej wiary. Niechaj po prostu trwa i umacnia swoje dźwięczne panowanie na lubelskiej ziemi. Jak długo bowiem śpiew i gra instrumentów mocniej brzmieć będą pod naszym niebem od huku bomb i płaczu, zostanie przy nas wiara w zwycięstwo dobra nad złem i piękna nad szpetotą”.

Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że choć na świecie zawsze były kwiaty, to nigdy również nie brakowało armat, zaś armaty wśród kwiatów pozostaną armatami. Ale rzeczywistość byłaby uboższa i smutniejsza, gdyby nie istnieli ludzie wierzący w przyrodzone zwycięstwo ładu nad chaosem świata, szlachetnej kultury nad okrutną naturą, choćby nam się ta wiara wydawała chwilami kwietystyczna lub nawet nieco staroświecka. Może tą właśnie wiarą żywią się wszelkie autentyczne i bezinteresowne działania społeczne?

W cieniu jubileuszu Towarzystwa im. Wieniawskiego umknął jakoś równoległy jubileusz, skromniejszy, bo dotyczący jednego człowieka, ale bezpośrednio z rocznicowymi uroczystościami Towarzystwa związany. Równocześnie bowiem obchodził 25-lecie nieprzerwanej prezesury Towarzystwa — Aleksander Czapski. W tym roku ponownie został wybrany na to stanowisko i jest dobra okazja

do rozmowy z prezesem, może nie tyle jubileuszową, ile po prostu roboczą.

— Jest pan prawnikiem z wykształcenia. Przed wojną był pan działaczem związkowym, po wojnie posłem do Krajowej Rady Narodowej i wiceprezidentem Miejskiej Rady Narodowej w Lublinie, radnym wojewódzkim i miejskim... Dotąd praktykuje pan jako adwokat. Ale ze wszystkich funkcji społecznych ostała się w czasie prezesury Towarzystwa im. Wieniawskiego. Czyżby za tym kryły się jakieś niezrealizowane młodzieńcze ambicje muzyczno-artystyczne?

30-letnim działaniem zakończył swoją muzyczną przygodę.

— Aktualny „stan posiadania” Towarzystwa? — Dziesięć oddziałów terenowych, w tym dwa pozapowiatowe: Międzyrzec i Świdnik. Tysiąc członków, w tym 479 w Lublinie, 60 punktów nauczania, 132 nauczycieli i około 2900 uczniów. Oczywiście, odpowiedni sprzęt i wynajmowane lokale. Ale z miejsca trzeba dodać, iż staraliśmy się obecnie rozszerzyć sieć społecznych ognisk muzycznych w oparciu o szkoły zbiorcze w gminach. Walne zgromadzenie Towarzystwa postulowało,

„Muzyka łagodzi obyczaje”

— Nie podobnego. Za tym kryje się po prostu nawyk i wewnętrzna potrzeba działalności społecznej, zupełnie zresztą bezinteresownej, ponieważ funkcję prezesa od początku sprawuję honorowo, co może warto by otwarcie, publicznie wyjaśnić. Kiedy Lublin przestał być stolicą, opuścili miasto działacze muzyczni, a ktoś przecież musiał się ruszyć muzycznym zajęciem. I tak to się z mną zaczęło. Dziś jeszcze energia dopisuje, więc zgodziłem się kandydować na prezesa, żeby przynajmniej

żeby przyznawać nagrody tym szkołom gminnym, które szczególnie się zasłużyły dla naszego ruchu. Dążymy też do podniesienia kwalifikacji nauczycieli w ogniskach muzycznych, żeby następnie wykorzystać możliwości, jakie stwarza Karta Nauczyciela, i poprawić warunki uposażeniowe naszych pedagogów, na co istnieją realne perspektywy.

— Co daje słuchaczowi ukończenie kursu w ognisku muzycznym?

CHYBA nigdy tak często nie używano słowa „mit”, jak ostatnio wobec poezji i samego poety Rafała Wojaczka, którego życie we wszystkich szych przejawach stało się tematem dyskusji. Ósmy numer „Nowego Wyrazu” przyniósł nową porcję materiałów mogących wiele wniesić do poglądów „wojaczologów”, ukazujących poetę jako człowieka na co dzień, stanowiących przyczynek do dyskusji.

Najbardziej znana jest „Nie skończona krucjata”, natomiast „cały Wojacek”, moim zdaniem, wyraża z dwóch pierwszych tomików; szczególnie zaś ciekawa jest geneza jego poetyki, której możemy doszukać się w „Sezonie”. Ten niewielki tomik daje możliwość spojrzenia na kształtującą się wyobraźnię poety. Tutaj tkwią początki metafizyki zagrożenia (określenie Stanisława Barańczaka), wynikającej ze stanu psychiki autora „Sezonu”, który — powiedzmy otwarcie — był schizofrenikiem.

Początków swoich lęków Wojacek doszukuje się już w dzieciństwie. Stąd pojawia się stylizacja na nieporadny język dziecka (jest ja, ale mnie nie ma, nie ma żyć), opisy prozaicznych sytuacji — pisanie po ścianach, podglądanie sąsiadki, które są często trywializowane, a jednocześnie dziecinność podmiotu staje się oczywistym pozorem w momencie, kiedy poezja wkracza w problemy natury egzystencjalnej, próbując budowania pewnych definicji filozoficznych. Świat tej poezji zaczyna być statyczny wobec pewnej impotencji czynu, czynu liczącego się w rzeczywistości. To, co u Różewicza „nie może się złożyć”, u Wojaczka jest tylko zbiorem czynności istniejących niepotrzebnie, bo to, co najważniejsze, zaistniało już wcześniej. Tragizm tego świata polega na inwersji zjawisk rzeczywistości, inicjacje czynu poprzedza jego finalne spełnienie;

Sezon jeszcze nie otwarty
a już miejscowi mówią
że tu się nic nie zaczyna

„Sezon”

Zycie staje się omyłką, w wojackowym porządku świata śmierć wyprzedza życie, dlatego odbywa się naprawianie błędów;

Kto żyje
ten umiera pośpiesznie

Dla sprawdzenia własnej egzystencji podmiot dokonuje iście sadyzycznych zabiegów: szpilką się nakłuwam, a do wnętrza czaszki wprowadzam śwідerek. Jest to fragment wiersza napisanego w 1965 r., w tym samym roku Woja-

klucz i gwiazda to dwa słowa — klucze wojackowej poezji, najczęściej koegzystujące z takimi pojęciami jak miłość, śmierć, kobieta. Gwiazdę, będącą symbolem czegoś nieosiągalnego, wysokiego i enigmatycznego w swojej naturze,

wię. Jedyną formą mówienia jest monolog.

Ostatnie wiersze z „Trzeba było rozstrzelać poetę” to pierwsze etapy ucieczki w inny wymiar, w inną „metafizyczną rzeczywistość” i są to próby Wojaczka — maksymalisty. Kolejnym etapem jest „Inna bajka”, o której pisał w „Prolegomenie do innej bajki” („Sezon”):

(...) Twoje serce zbadać,
dla mnie, nim się na nowo
nauczę mówić — nazwać

„Inna bajka” to głównie bunt przeciw stwierdzonej w „Sezonie” impotencji czynu i inwersji zjawisk rzeczywistości. W „Genezie” Wojacek wprowadza sytuację diametralną do tej, jaka istniała w „Sezonie”, gdyż rzeczywistość zaczyna ulegać przemianom szybciej następującym niż jej poetycka kreacja (Las sam stanął Nim jeszcze ustaliłem miejsce Pod las). Proces stwarzania świata, będący nową kreacją nowej rzeczywistości, jest w gruncie rzeczy rekonstrukcją biblijnego stworzenia świata, w którym to procesie z chwilą spowszednienia fascynacji stworzeniem pojawia się (w 7 dniu) kobieta jak niedziela. Kobieta czyni Wojaczek niemal punktem centralnym twórczości, przedstawiając ją jako istotę wyższą od mężczyzny, wobec której zawsze odczuwał kompleks niższości, widząc w niej źródło życia (sił rozrodczych), doznań erotycznych, uosobienie liryzmu i subtelności w przeciwieństwie do męskiej brutalności. Mimo tego Wojacek nie rezygnuje z owej brutalności. Skrajne przykłady znajdziemy w „Nieskończonej krucjacie”, w wierszach „Piosenka o poecie”, „Piosence z najwyższą wieżą” gdzie niemal z lubością „pograża się” w surrealistycznym sadyzmie. Są to jaskrawe wyjątki, wymowa ich powinna nieco błędnie przy pięknej liryce, nie dostrzeganej bardzo często przez interpretatorów (np. „Mówię do Ciebie”, „Prośba”, „Dobranoc”).

„Inną bajkę” uważam za najlepszy, najrówniejszy tomik Wojaczka, bo zarówno w „Sezonie” jak i ostatnim tomiku znajdziemy dużo wierszy nierównych, niedoszlifowanych, słabych. Wiersze ulotne tej książeczki, podzielone na genetyczne i dydaktyczne, w których podmiot mówi głosem jakby jednostajnym, zrównoważonym, są kontrargumentami na opinię Krzysztofa Karaska.

W trzecią rocznicę śmierci

ZJAWISKO: WOJACZEK

Jerzy Krzysztof Misiec

czek pisze w swoim „Dzienniku”:
A w czym się sprawdzić, wobec czego — wobec rzeczy, kawałka drewna, trawy, etc. Nie wiem. I dlatego, że nie wiem, orzekam brak sensu.

Niemówność ustalenia własnej tożsamości, brak w otaczającym świecie elementów, wobec których sprawdzenie się dawałoby pewność istnienia, kieruje Wojaczka w stronę metafizycznych poszukiwań w miłości. Miłość — ten obszar życia poety, na którym dochodzi on do ostrych antynomii, stanowiących jednocześnie dla niego pewnego rodzaju chwilową harmonię, a niezależnie od tego wyraz nihilistycznego buntu — występuje zawsze w relacji miłość — śmierć. Miłość jest dla Wojaczka najwyższą cenioną wartością nadrzędną, jest krwią rozległą.

Wojacek utożsamia często z „krwią”:

(...) ta gwiazda jest Twoją krwią.

Maksymalna indywidualizacja świata poprzez nasycenie go dopiero szkieletami nowych mierników i jednocześnie przytłoczenie tego świata zdewaluowanymi pojęciami, które należy odnowić w ramach innych wartości, wprowadzenie do poezji nowych elementów wyrażających te przejawy życia, o których dotychczas nie mówiło się w poezji, wszystko to przetrasta niejako możliwości poznawcze młodego poety. Brak zrozumienia ze strony innych ludzi dla jego osobowości i poetyckiego świata powoduje niezrozumiałą nienawiść i niechęć w stosunku do ludzi z otoczenia i doprowadza do sytuacji jednostronnej, w której normalne wydaje się wyznaczenie: Ja nie umiem mó-

— Proszę pana, to jest ruch społeczny i trudno tu mówić o jakichś formalnych uprawnieniach. Do nas przychodzą ludzie, którzy po prostu lubią muzykę i chcą bliżej się z nią zapoznać czy też udoskonalić dotychczasowe umiejętności. Ponadto po ukończeniu odpowiedniego kursu instruktorskiego ludzie ci mogą pracować w domach kultury. Ja bym się nie martwił o perspektywy ognisk muzycznych, szczególnie tych lepszych, z dobrą kadrą nauczycielską. Ostatecznie proszę nie zapominać, że z naszego ruchu w jakimś sensie wyłoniła się filharmonia lubelska i średnia szkoła muzyczna, później słusznie zinstytucjonalizowane i upaństwowione.

— Najbliższe plany Towarzystwa?

— Rozwinąć akcję koncertów studyjnych w lubelskim radio, co pozwoliłoby szerzej prezentować dorobek tutejszych szkół muzycznych, z którymi chcemy nawiązać ściślejszą współpracę. Ostatecznie wielu słuchaczy społecznych ognisk muzycznych trafia przecież do państwowych szkół muzycznych w Lublinie. Nie powinniśmy tracić kontaktu z tą młodzieżą. A jeśli już o młodzieży mowa, to nosimy się z zamiarem zorganizowania zespołu instrumentalno-wokalnego, złożonego z ludzi młodych i upowszechniającego w zakładach pracy muzykę popularną. Dojrzała też w naszym mieście sytuacja do stworzenia chóru chłopięcego, nad którym opiekę, przynajmniej dopóki nie zaistnieją perspektywy instytucjonalne, powinno sprawować nasze Towarzystwo. Nie będziemy wówczas zazdrościć Poznaniowi jego chórów chłopięcych.

— Dostyc śmiało zamierzenia.

— Są i śmielsze, o których strach mówić...

— A może jednak?

— Warto by przyspieszyć otwarcie w Lublinie Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej, kształcącej kadry muzyków i wokalistów dla przyszłej sceny operowej. Początkowo mógłby to być rodzaj instytutu, działającego pod naszym patronatem... To dopiero jednak przyszłość, bo i o lokal trzeba by się postarać. Może jak filharmonia się przenieść?...

— W 1980 roku będziemy obchodzić 100-lecie śmierci Henryka Wieniawskiego. Jak w tej sytuacji mogłoby znaleźć się Towarzystwo?

— Już w tym roku, działając wspólnie z RSW „Prasa-Książka-Ruch”, mamy zamiar otworzyć salon pamiątek po Wieniawskim, gdzie mieściłaby się też niewielka kawiarenka. Władze obiecały lokal...

— Najlepszy byłby w Rynku, i to w tym domu, gdzie się Wieniawski urodził. Tak by logika wskazywała.

— Zobaczymy, jak to wyjdzie.

— Sławę i chwałę Towarzystwa są ogólnopolskie festiwale młodych skrzypków, organizowane w Lublinie. Czy ta impreza ma szansę dalszego rozwoju?

— Właśnie o tym chciałem mówić. Kolejny, trzeci festiwal odbędzie się w 1976 roku, ale zastanawiamy się nad nim już dzisiaj. Chcielibyśmy włączyć uczestników z obozu państw socjalistycznych, wprowadzić dwuetapowe przesłuchania, umożliwić nagranie wszystkich laureatów, wykonanie fotosów i plakatów o wysokim poziomie artystycznym. Trzeba koniecznie zabezpieczyć ową dokumentację, pozostanie bowiem w ten sposób bezcenny materiał dla przyszłych pokoleń, jeśli wolno się tak górnolotnie wyrazić, bo pan, zdaje się z generacji, która nie lubi „wielkich słów”.

— Ja z generacji, której starsi bracia mówili, że zostanie po nas żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń. Dla sprawiedliwości dziejowej dodam, iż nasi starsi bracia mówili to zaraz po wojnie, w momentach uzasadnionego rozgoryczenia. Historia zweryfikowała po mojemu tę prawdę w naszym kraju i wyszło znacznie bardziej optymistycznie. Ale pokoleniowa przekora nakazuje mi zauważyć, wracając do spraw muzycznych, że spośród tych wielu krzepiących zamierzeń Towarzystwa nie wszystkie mogą się udać w praktyce, i to byłoby normalne jako ryzyko każdej działalności społecznej. Czy natomiast nie przesładuje Pana czasem myśl, że ktoś stara się ludzi jakoś uszczęśliwiać, serwować im kulturę, a ludzie w ogóle nie chcą kultury takiej, jaką im się podsusza?

— Jest to kwestia umiejętności i skuteczności działania, niczego więcej. Oczywiście, przy założeniu, że mamy przekonanie co do słuszności swoich racji i że one są faktycznie słuszne. Nigdy życie codzienne nie było tak przesycone, a raczej nasycone muzyką, jak to się dzieje obecnie, choćby dzięki radiu i telewizji. Zadaniem naszego Towarzystwa byłoby też uczenie ludzi słuchania i smakowania muzyki, jakiś wspólny komunizm muzyczny. Moja zasada: homo sapiens — homo ludens, czyli wiązanie życia prywatnego z życiem zbiorowemu.

Rozmawiał M. Podgóski



Fot. Archiwum

Okno -lice szkół -ki

Wątpliwy urok naiwności

„Takiej próby mierzenia się ze sobą w poezji Wojaczka nie dostrzegam. Jest w niej fascynacja wściekłością i wrzaskiem, fascynacja zniszczeniem, ciemnością, niekiedy sentymentalne nią urzeczanie”. Jest to przykład jednostronnej i obiegowej interpretacji tej poezji. Jeśli razi nas „wojaczkowy turpizm”, jest to odraza do tych wszystkich brudów cywilizacji, które Wojaczek po prostu transponuje do wiersza. Mierzenie się ze sobą nie prowadzi do osiągnięcia pewności własnej wartości; Wojaczek nie mierzy się z sobą, stara się raczej przymierzyć do czegoś. Brak owego metafizycznego „czegoś” jest przyczyną nihilistycznego buntu, dzięki któremu Wojaczek stara się odnaleźć prawdziwego człowieka. Albert Camus o takim buncie pisał: „(...) w chwili jasności, gdy dostrzegamy i słusność tego buntu i jego niemoc, szaleństwo negacji zagarnia to nawet, czego chcielibyśmy bronić (tj. człowieka — przyp. J. K. M.)”. Tak jest w przypadku Wojaczka, długoletnia buntu rodzi w pewnym momencie bezsilność;

Wyrzec słowo, by stwierdzić, że jest krzykiem i nikogo to nie obchodzi.

Stąd już tylko krok do rezygnacji równoznacznej z próbą odnalezienia innego stanu istnienia, który jest stanem doskonałym;

Czy pan czasem nie próbuje z niego uciec z rozpaczliwych czterech kątów. Piąty: śmierć.

Poświęcony w całości Wojaczekowi 8 nr „Nowego Wyrazu” jest ostatnio jedną z obszerniejszych publikacji w tej materii. „Zjawisko — Wojaczek” powoli traci swój rozgłos i jest to sytuacja normalna. Być może pozostanie ono mitem, ale z pewnością za kilka lat w przyszłym pokoleniu poetów i krytyków doczekamy się ludzi, którzy spojrzą na Wojaczka z pewnego dystansu czasu, z punktu widzenia nowej wyobraźni poetyckiej, nowego światopoglądu. Pod tym względem sytuacja Wojaczka jest podobna do Andrzeja Bursy, którego twórczość po ponad piętnastu latach doczekała się różnej oceny i obszernych publikacji.

„Nie skończona krucjata” jest przerwana. Który jednak z poetów naszego czy przyszłego pokolenia odważy się wkroczyć na tę drogę, już dostatecznie skomplikowaną i niebezpieczną?

HISTORIA uczy, że do uprawiania twórczości potrzebne były dość trywialne warunki. Oczywiście: pieniądze. Ale i brak pieniędzy. Także zapach zgnitych jabłek. Kawa. Okna zasłonięte storami, a więc zapalone świece. Stojąca postawa w trakcie pisania na maszynie. Oko wita z Murzynami spożywaną pod szopą. Spotkania z udziałem kilku nastu dam plus jeden. Do uprawiania każdej twórczości potrzebne były również określone zdolności, aczkolwiek nie jest to takie niepodważalne, o czym świadczą pewne przejawy młodej sztuki.

Wszystkie wymienione „warunki” działalności artystycznej są bowiem warte dziś tyle, co dobre maniery, za których demonstrowanie można dostać po pysku, lub wylecieć z najlepszego towarzystwa. Podstawowym elementem dobrego samopoczucia pokażnej grupy kreatorów jest obecnie etykieta z napisem „intelektualista”. Jeśli w połowie lat sześćdziesiątych młodzież artystyczna rozbiła się w pogoni za mianem jurnego natury, co to nosem świat defloruje, po marginesie społecznym chodził jak swój, nie pękając przed Edziem-pedziem i Zochą-cwajnochą za patyk-radochą, tak w czasie naszym przede wszystkim liczy się rzecz intelektualna. Juniorzy fotoplastyczni przywdziewają zatem ów mundurek szamerowany złotymi myślami, nie dziwiąc się wcale, że przydziełek miejscami przyciasny, miejscami przepastny, ośmiuszający to, co w środku. Lecz moda jest wszystkim, być na modnej fali, to znaczy trafić do towarzystwa, gdzie gardzić pospółstwem do stylu należy. Nie jest przy tym ważne, czy faktycznie jest się intelektualistą, istotne, że nosi się miano intelektualisty. Uzyskać je najłatwiej przez uprawianie twórczości konceptualnej, która — jak sama nazwa wskazuje — zasadza się na ruszaniu konceptem, czyli główkowaniu,

Jego efekty nie podlegają w praktyce żadnym kryteriom, liczy się sama intencja robienia czegoś mentalnego. Przyzwolici ludzie wyrzekają się siebie, przestają uprawiać twórczość zgodną z ich naturalnymi predyspozycjami psychicznymi, z typem wrodzonej wrażliwości emocjonalnej i estetycznej — i rzucają się w krakowiska lingwistyki, teorii komunikacji, logiki matematycznej etc., gdzie rzeczywiście trudno obyć się bez intelektualnego oporządzenia. Przypomina mi to pewne imponujące imienniny, charakterystyczne amokiem wszystkich zebranych mężczyzn, którzy wprost i zza łazienki zgodnie atakowali niejaką panią Popczyk, osobę ondulowaną perfidnie, co nie tak ważne, i mierzącą ponad dwa metry wzrostu, co z kolei istotne, bo działające na wyobraźnię. Większość panów mierzyła plus minus metr sześćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, a jeden to nawet stawał na palcach.

Artystyczne wspinanie się na palcach przynosi skutki znacznie bardziej żałosne. Młodzi twórcy, którzy oddali się zabawom konceptualnym, nie mając do tego żadnych uprawnień intelektualnych czy osobowościowych w ogóle, po prostu marnieją w oczach, dobijani repetycją artykułu Josepha Kosutha „Art after Philosophy” z 1969 r., będącego dekalogiem konceptualistów.

Tak więc wybitnie uzdolniony fotografik rzuca w kącie dobrodziejstwo inwentarza, którym obdarzyła go Matka Natura i praca nad warsztatem, rzuca więc cudowną zdolność do konstruowania sugestywnych metafor, podpatrzonych w rzeczywistości, lub zbudowanych z jej elementów, z dnia na dzień zapomina o ambicjach przemawiania w imieniu pokolenia i zaczyna swoją wielką przygodę z teorią pozna-

nia oraz psychologią widzenia. Przepędziwszy z kręgu swojej uwagi człowieka i jego sprawy egzystencjalne, pokazuje w sali lubelskiego BWA szereg małych fotografii, których sens zadržąca mieściami o siedemnastowieczną sprawę — aktualną i w późniejszych czasach — obrazu w obrazie. Przy okazji wbija nam ćwieka pytaniem o realność istnienia metawizerunków rzeczywistości. To jeszcze nie jest takie straszne, co najwyższe nudne i wielokrotnie ograne. Gorzej, kiedy młody autor zaczyna wyluszczać ideologię własnego postępowania, przerzucając się na żywe słowo, uwiecznione w maszynopisie przypiętym na widocznym miejscu. Z ulotki tej dowiadujemy się o selektywności naszego widzenia, profilowanej okazjonalną hierarchią spraw i wydarzeń, w których właśnie uczestniczymy. I tak np. wypadek samochodowy pochłania nas bardziej, niż inne przedmioty z tej scenerii. W krótkim tekście roi się od słów „badam”, „zjawisko”, „obiektywny”, „zapis”, których naukowe pochodzenie odsłania zarówno ambicje autora, jak i jakoweś fatalne kompleksy.

Kiedy ludzie zapominają o własnych proporcjach i ulegają terrorowi niektórych środowisk artystycznych, są jako ci mężowie ogarnięci amokiem w lokalu M-4: bezpotrzebnie chodzący na palcach. Nikt nigdzie nie udowodnił, że sztuka intelektualna i scjentystyczna ma przewagę nad twórczością spontaniczną, powstającą na drodze impulsu, zaskiwienia ludzkim światłem, głębokiego współbrzmienia z jego najbardziej codziennymi sprawami. Bo jest to po prostu niemożliwe.

Ambicjom konceptualnym itp. z reguły nie towarzyszy minimum wiedzy o faktach, zjawiskach i problemach obszaru, na którym zdecydował się ktoś pobięgać. Z takiego układu wynikają „struktury” artystyczne wyjątkowo irytujące niezrozumieniem ideologii pierwowzoru i naśladowujące tylko jego zewnętrzną postać. Mam nadzieję, że słowa te znajdą zrozumienie u innego lubelskiego fotografika, który z małych i z różnotematycznych zdjęć lepi wielkie i długie płachty.

IJK

Osoby

Anna — lat 21, piękna szatynka; Bożena — lat 21, jak wyżej; Ewa — lat 20, b. ładna brunetka; Monika — lat 20, blondynka, owszem, pokiśna; Andrzej — lat 21, wygląd tzw. intelektualisty-okularnika; Cyryl — lat 24, b. przystojny, b. wysoki, b. męski w typie; Jacek — lat 21, ujmująca powierzchowność; Reporter — facet w średnim wieku.

PROLOG

Na dziewczyny nie ma silnych, jako że na urodę dziewczyna trudno być nieczulym. Zwłaszcza wiosną. Nawet jeżeli na karku, niezależnie od lat, wiele poważnych obowiązków i problemów — nie wykluczając naukowych. Dobrze więc, gdy dziewczyny mogą być dla nas dobre na wiosnę.

— Umoczyłam zaliczenie nie żebym była tuman, ale nie uległam asystentowi. — Ewa wyklada swoje racje bez zenady, po prostu, tonem, jakim komunikuje się stan pogody. Reporter odczuwa zawód — na oburzenie liczył co najmniej.

SCENA I

Pokój Ewy. Tak zwany artystyczny bałaganik. Stomiana mata na ścianie dziewczynskimi fotosami gwiazd i gwiazdorów upstrzona. Tapczan cepeliowski, takież regał z otwieraną kłapą za blat-biurko służące, przed nim obrótowy fotel enerdowski. W nim Reporter zagłębiony. Na tapczanie cztery dziewczyny: Ewa właśnie, Anna, Bożena i Monika. Fajne, długonogie babki, w spodniach. Ewa tylko w mini o ściak krtani przyprowadzającej. Paluszki słone chrupią, rieszlingiem przepłajają — wytwornie przeważnie. Pora jest przedpołudniowa, dyrektorskie mieszkanie ojca Ewy opustoszałe, sciszony też stereomagnet, z którego sączy się świetna muzyka Pinka Flloyda.

ANNA: — Przedstawiam tego pana, żeby nie było nieporozumień. To on właśnie przerobił mnie wtedy w „Życiu Literackim”. Chce rozwinąć temat.

EWA: — Zgoda. Ale warunek: bez szczegółów umożliwiających identyfikację, okej?

REPORTER: — Mówiłem przecież Annie, że czytamy maszynopis wspólnie i godzę się na wszystkie konieczne poprawki.

MONIKA: — Można mu wierzyć?

ANNA: — Chyba tak.

BOŻENA: — O czym ta gadka? Jesteśmy tu i wiemy po co. W sumie ten kawałek z „Życia” nie był najgorszy.

ANNA: — Nie całkiem się zgadzam. Ale też jestem za. Jest szansa, że inne babki także się ruszą, napiszą może nawet do redakcji.

EWA: — Więc która pierwsza? Może ty, Monika?

MONIKA: — Anuika raczej. Jej łatwiej rozkręcić, zna gościa.

ANNA: — Okej. Więc... No, po prostu trochę przymusowego załatwiania różnych spraw ciałem jest na uczelni.

EWA: — Nie tylko na twojej. U mnie też.

ANNA: — No, zaliczenia, egzaminy. Jasne, nie wszyscy, nawet nie większość, ale są tacy, że nie przepuszczą żadnej dorzecznicy babce. Belfegor na przykład. Tak nazywamy asystenta (w maszynopisie wykreślona przez dziewczęta nazwa katedry). Cholerny erotoman. Złośny i w ogóle do rzeczy facet, ale z tym tioletem nie do zycia. Drugi taki jest na (również skreślenie). Ten poluje tylko na blondynki. Monika miałaby u niego krechę jak drut. Chyba, że zrobiłaby się na brunetkę, bo i tak babki kombinują. Czasem to nawet pomaga, a czasami wywołuje jowiszowy gniew, który w indeksie owocuje haklem. Wtedy najlepiej odczekać, a jeszcze lepiej pójść do fryzjera i na drugie podejście zjawić się w blond lokach. Tak zrobiła Jolka przed dyplomowym, przekimiała z gościem i ma dyplom z głowy.

MONIKA: — Jolka? Ta od Zenka?

ANNA: — Uhm, onaż.

MONIKA: — Cholera, jasna pieprzona cholera.

ANNA: — Jolka ma chłopca. Pobierają się, kochają itede itepe. Więcej tłumaczyć nie trzeba?

REPORTER: — Nie, ale...

ANNA: — Nie musiała? Właśnie że tak! Dyplom był jej, potrzebny jak cholera. Trafiała się praca i to w biurze Zenka, taka od zaraz, dobrze płatna, ze skróconym stażem, no i gwarancją szybkiego mieszkania, z wkładem darmowym. Szansa zastartowania od razu. Dla niej i dla Zenka to był sam miód. Moim zdaniem zrobiła słusznie, ma to już z głowy.

EWA: — Może i racja. Ale ja nie mogłam. Przez to umoczone zaliczenie wisi mi cała zimowa sesja. Chyba przyjdzie kiblować cały rok.

MONIKA: — Nie tragedia. Masz fajne warunki.

EWA: — Okej, ale jak ojcu to wytłumaczyć?

ANNA: — Po prostu — powiedz.

EWA: — Nie znasz staruszka. Zrobiłby szum i byiby z tego tylko gnój. Kto udowodni?

MONIKA: — Nie przesadzajmy. Wszystko to uproszczenia. Psychologia jest jedna dla wszystkich. Tak samo na fajną dziewczynę ma ochotę intelekt z tytułami, jak każdy inny.

CYRYL: — Chrzaniisz. Po prostu oni wykorzystują swoją przewagę.

ANDRZEJ: — Kwestia terminologii. Brachu, mają kupę lat i całe fury doświadczeń. Za dwadzieścia lat też będziesz trochę inaczej myślał.

CYRYL: — Chrzaniisz. Dymna zasłona. Lepiej powiedz mi po prostu, co jest warte to wszystko, czego nas uczą? To jak, inaczej po prostu się mówi, a inaczej robi, co?

ANDRZEJ: — Nie przesadzajmy. Wszystko to uproszczenia. Psychologia jest jedna dla wszystkich. Tak samo na fajną dziewczynę ma ochotę intelekt z tytułami, jak każdy inny.

CYRYL: — Chrzaniisz. Po prostu oni wykorzystują swoją przewagę.

ANDRZEJ: — Kwestia terminologii. Brachu, mają kupę lat i całe fury doświadczeń. Za dwadzieścia lat też będziesz trochę inaczej myślał.

BĄDŹCIE DLA NAS DOBRE NA WIOSNĘ

Stanisław Harasimiuk

(tragifarsa bez odsłonek)

BOŻENA: — Fakt. U nas kiedyś jedna zrobiła raban, może pamiętacie, Magda Z. No i musiała nawiewać do Krakowa, nie miała tu życia. Każdy wiedział, że narodziła się, a kto taką lubi? Nawet Klarysa, ta cholerna stara dewota, ścięła ją z propeudyki. Słabsza byłam, a zdalam.

REPORTER: — Nie mam powodu, żeby nie wierzyć w to co słyszysz teraz, co pogadują tu i ówdzie na uczelni, ale ile w tym przesady, plotek, pomówień?... Moje koleżanki, jeszcze w dawnych czasach, też się na zaliczenia i egzaminy ubierały „pod profesora”, na zajęciach robiły słodkie oczy, wyraźnie kokietowały facetów, zwłaszcza te słabsze.

EWA: — Okej. Ale nie można generalizować. Dla mnie poza Cyrylem nie istnieje żaden mężczyzna. Naprawdę.

REPORTER: — Wierzę. Idzie mi jednak nie o wyjątki, ale o zasadę. Podam jeszcze jeden przykład. To było na Uniwersytecie Warszawskim w moich studenckich czasach. Tamara była najładniejsza z całego roku. I chyba najbardziej leniwa, choć, trzeba przyznać, bystra. Dość, że oblała z teorii literatury i zrobiła szum. Rzekomo powodem oblania miał być jej odpór na niedwuznaczoną propozycję egzaminatora. Był raban. Ale okazało się, że zupełnie bez podstaw. Babka przyznała się potem, że chciała gościa zaszantażować; gdy na egzaminie zobaczyła co się święci, zagroziła doktorowi, że jeśli nie dostanie chociaż trójki, wszędzie rozgłosi, że jakich powodów. Trójki nie dostała, rzekome powody rozgłosiła. Nawet jej nie relegowali za to, facet pierwszy był za puszczaniem rzeczy w niepamięć, ale Tamara i tak studiów nie skończyła. Nie, nikt jej nie gnoił, po prostu wybrała tzw. dobrą partię. Jeszcze na trzecim roku wyszła za mąż i rozjeżdżała po Warszawie pięknym „Taurusem”.

MONIKA: — Jedno nie wyklucza drugiego.

ANNA: — Okej, ale co zwinila Ewa? Czy to grzech mieć takie nogi, kochać tylko swojego chłopca i wierzyć, że piękny jest ten świat?

SCENA II

Standardowy pokój w akademiku. W pokoju rozmawiają po łózkach studenci: Andrzej, Jacek i Cyryl oraz Reporter w kasetowy magnetofon uzbrojony. Cel spotkania ustalony, rozmowa w toku.

CYRYL: — Z Ewą to było tak, że dziewczyna po prostu wpadła. Zna ją pan, to pan wie, że trudno byłoby znaleźć taką drugą. Więc ja się nie dziwię temu facetowi, ale żeby się mścił w ten sposób, to jest po prostu chamstwo. A wszędzie nam do łba kładą, że człowiek to brzmi dumnie.

JACEK: — Znamy Ewkę git, bo raz z jednego jest roku, a dwa od początku, już trzy lata, chodzi z Cyrylem. Wdechowa jest babka, wielu się w niej podkochuje, ja też, nie ma tajemnicy, Cyryl wiedział i to było w ramach regul. Parszywa historia i tyle.

CYRYL: — Po prostu ja się nie mogę zgodzić, bo to jest świństwo po prostu.

ANDRZEJ: — Z Ewką chyba tak. Równa jest dziewczyna. Ale nie ona jedna weszła na tapetę. Weź Mirkę, Ankę, Jolę, weź Kikę. Mówiła ci coś która? No widzisz, wszystko cicho-sza, egzaminy lecą. Zresztą ten gość ściął wtedy nie tylko Ewkę, umoczył kilkanaście osób jeszcze płci obojga. Zły dzień, brachu.

CYRYL: — Chrzaniisz. Dymna zasłona. Lepiej powiedz mi po prostu, co jest warte to wszystko, czego nas uczą? To jak, inaczej po prostu się mówi, a inaczej robi, co?

ANDRZEJ: — Nie przesadzajmy. Wszystko to uproszczenia. Psychologia jest jedna dla wszystkich. Tak samo na fajną dziewczynę ma ochotę intelekt z tytułami, jak każdy inny.

CYRYL: — Chrzaniisz. Po prostu oni wykorzystują swoją przewagę.

ANDRZEJ: — Kwestia terminologii. Brachu, mają kupę lat i całe fury doświadczeń. Za dwadzieścia lat też będziesz trochę inaczej myślał.



Fot. Archiwum

CYRYL: — Nigdy nie będę myślał inaczej. Takich rzeczy się nie zapomina po prostu.

ANDRZEJ: — Coś ci powiem, bo ty mi nie wierzysz. Poczytaj sobie uważnie Flauberta. U niego jest taka scena: po kilkudziesięciu latach spotykają się serdeczni przyjaciele z młodości — wspominki, wielkie syntezę życia, te rzeczy. No i do jakiego dochodzą wniosku? Ano, brachu, że byli autentyczni tylko wtedy, gdy z bijącymi sercami, prawdziwym wzruszeniem pierwszy raz przekraczali próg burdelu. To jedno wzruszenie przetrwało w ich pamięci. Późniejsze prawdziwe miłości, sukcesy zawodowe, całe życie rozlało się w mglistą magmę. Nic, brachu, bryja, miazga. Do czego zmierzam? Nie ma uniwersalnych postaw, bo i nie ma uniwersalnego żywego człowieka, człowiek się wечно staje. Są tylko uniwersalne prawidła. Ale to już kwestia indywidualnego ich stosowania. Lub omijania.

CYRYL: — Chrzaniisz. Ta twoja psychologia jest wstrętna po prostu.

ANDRZEJ: — Ano jest. Życie, brachu. Reklamuj pod innym adresem.

SCENA III

Kawiarnia. Przy jednym ze stolików Doktor i Reporter. Rozmowa w toku.

REPORTER: — Stary, znamy się jeszcze ze szkoły. Zapewniam ci stu procentową dyskrecję. Niczego nie zamierzam uogólniać, przeciwnie, ograniczę się wyłącznie do suchej relacji, sam zapis. Powiedz mi szczerze, ile jest prawdy w tych damsko-męskich historyjkach?

DOKTOR: — Procentowo?... Nie, oczywiście, żart. A tak poważnie — nie przejawiałbym. Problem leży w czymś innym. Stary, co się oszukiwało. Jakby ci młoda babka sama lała w ręce, odrzuciłbyś?

REPORTER: — Pojęcia nie mam. Nie miałem takich oszalamiających okazji.

DOKTOR: — Na uczelni są. Taki egzamin. Siedzi przed tobą sierota, dekolt do pępka, spódniczka zredukowana do przepaski na biodra, nogi do samej szyi, ma toto dwadzieścia lat, ślepią w ciebie wlepią, im większa krewa, im większy intelektualny niewypał i coraz realniejszy balon w indeksie, tym bardziej omdlewające miny... Poczekaj, wiem, to powinno odrzucać. Handelek ciałem, nie? Etyka, prawda? Ale trudno, do cholery, jak się już chodzi w portkach, trudno czuć wstręt do pięknej młodej babki!

REPORTER: — Szczerze — korzystałeś?

DOKTOR: — Jakby tu powiedzieć... Raczej nie. Nie w tej formie, o jaką ci chodzi. Co oczywiście nie znaczy, że nie miałem ze studentkami sprawy. Ale zawsze z wyraźną dobrą wolą obu stron i nie na płaszczyźnie służbowej. Absolutnie.

REPORTER: — Znam jedną taką historyjkę (tu opowieść o przypadku Ewy). Co ty na to? Nie wykluczasz takiej możliwości?

DOKTOR: — Nie, ale tylko dlatego, że nigdy nie należy wykluczać żadnych możliwości. Zawsze jest ich więcej, niż zdolamy sobie wyobrazić.

EPILOG

W nieznośnie nasłonecznionym hallu giełdowa gorączka, zwyczajny przedegzaminacyjny rausz. Wśród gromady chłopców kilkanaście dziewczyn, parę szczególnie urody, wszystkie z wyraźną starannością ubrane. Ciuchy mieszczą się w stylu młodzieżowym, ale też każdy szczegół kreacji zdecydowanie obliczony na podkręcenie watorów, powiedzmy, urody, starannie eksponujący seks. I kolory śmiałe, matki tych dziewcząt rzeźbiłyby: wyzywające. Moda.

Reporter mijając hall, chodzi korytarzami pierwszego, drugiego i trzeciego piętra. Na czwartym dobiega go natrętna melodyjka z tranzystora ustawionego na okiennym parapiecie, ponad którym w czeluści otwartego okna malowniczo uplastowany kiwa się nad rozłożonymi skryptami wkuwający, wyjątkowo długowłosy, brodaty student; piosenkarz radośnie — beztrosko prosi dziewczynę, aby były dla nas dobre na wiosnę. Radio dba o aktualny repertuar.

Jeszcze jedno skrzydło korytarza, ostatnie. Ale w nim także Reporter nie odnalazł Ewy.

INFORMACJA kolejowa w Krakowie od-
radza jazdę pociągami: linia do Zakopane-
go uzbrajana jest w trakcję elektryczną,
na odcinku kilku kilometrów pasażerów
przewozi się autobusami, a więc muszą oni włączyć
i wyjechać z wagonów, co męczące. Za półtora roku
będzie lepiej, elektryczny bez nawrotów pociąg
na południe: dziś, jak wiadomo, trzy razy parowóz
zmienia fronty: w Płaszowie, Suchej i Cha-
bówce. Poza tym elektryczny jest dobry, bo nie
kopci w Tatrzańskim Parku Narodowym, który ostat-
nio anemiczny.

Przed dworcem PKS młody człowiek zachęca do sko-
rzystania z jego samochodu. Jedzie właśnie do „Zakop-
ca”, za 130 złotych podrzuci, niech tylko klient chwilę
poczekasz, aż zberze się komplet. Ile kosztuje bilet auto-
busowy? 30 złotych, proszę pana, różnica niewielka w
cenie, ogromna w szybkości i komfortie jazdy.
Chętnych jednak nie widać. W kasie dworcowej ku-
puje więc bilet za 30 złotych, a „Jelcz” ma charakter
pospieszny.

Dworzec PKS w Zakopanem obszerny, ale nie
za bardzo. W samotności występuję w jesiennej
granatowej a'la dyplomata z lat pięćdziesiątych,
naokoło jacyś ludzie w skafandrach i przy nar-
tach, więc ich od razu nie lubię. Poza tym swojs-
ko, spalinami śmierdzi tak, jak na ul. Naruto-
wicza w Lublinie.

— Może pokoik dla szanownego pana?! — do-
biega mnie szepc sceniczny. — Tanie, 50 złotych
od łóżka — dodaje zachęcająco starszy jegomość

górskie powietrze tlenkiem węgla i czteroetylen-
kiem ołowiu. Dymią Zakłady Mięsne przy Krup-
ówkach, smrodzą samochody, więc wymierają
świerki wzdłuż ulic. W 40 km potoków górskich,
przepływających przez Zakopane, niemal wyginęło
życie biologiczne.

— Już niedługo będziemy mieli gaz, w mieście
powstał nawet społeczny komitet gazifikacji z
własnym biurem projektowym. Dym zniknie z
atmosfera Zakopanego, zobaczy pan — przechwa-
ła się panienska z recepcji. — Karol? Nie znam.

— Szukam Karola. W restauracji „Wierchy” Karola nie
znają, natomiast o Satanie mówią, że ma lat czterdzie-
ści, choć tego nie widać. Pani Satana występuje wieczorem
w charakterze strip-teaserki, można ją obejrzeć za
jedne 40 złotych. W godzinach popołudniowych w lokalu
usługują uczennice szkoły gastronomicznej. Niektórzy
klienci ganią młode kelnerki, inni chwają — aż do tak-
kiej przesady: mile panienski i dobre jedzenie „wpły-
wają na znaczną absencję klientów”. Pozdrawiam
was, „konsumentie z Katowic”!

W pobliskiej „Watrze” natykam się na znajomego
szatniarza. Prowadził kiedyś własną restaurację, obec-
nie ma interes, z dyrektorami zjednoczenia jest na ty.
O Karola nie pytam, nie wypada, a poza tym coś mi
zaczyna się nie zgadzać z owym „parasolem”.

Za złotówkę spoglądam przez lunetę na Giewont z
krzyżem na wzór włoski osadzonym jeszcze w 1900 roku.

— Dużo chętnych? — pytam właściciela przyrzędu.
— Nie narzekam.

Wechodzą na zaplecze jakieś chałupy, zwabiony napi-

że sens owych zabiegów jest społeczny. Nie zmie-
nia to faktu, że pobyt pod Giewontem kosztuje.

Gdy w samotności chesz zwiędzić Kraków, piątę 3
ziote. Jeśli zamierzasz opaść się na terenie skoczni —
daj 5 złotych. Przejazd kolejką linową z Kuźnic na
Kasprowy kosztuje 28 złotych, a lampka granowego wina
„U Wnuka” — 32 złote. Ten cenik oraz „hamujące”
uchwały władz miejskich i wojewódzkich nie zniechęca-
ją jednak instytucji i przedsiębiorstw do lokowania
swoich marzeń w Zakopanem, i to czasem w sposób
niezgodny z prawem. W ubiegłym roku na zlecenie
Ministerstwa Zdrowia podległa mu jednostka zakupiła
bez porozumienia z ówczesnym Prezydium MRN dwie
wille: przy ul. Makuszyńskiego, potocznie zwaną „Mil-
lionerów”, i przy ul. Jagiellońskiej. W lipcu 1973 r.
Zjednoczenie Hutnictwa Żelaza i Stali zaprzęgnęło prze-
jął obiekt po zlikwidowanym sanatorium, podnosząc
„znane walory klimatyczne i rekreacyjne Zakopanego”
i wskazując na szczupłość własnej bazy czasowej. Stara
legenda o powietrzu, które leczy „choroby płucowe”,
funkcjonuje, jak widać, nadal. Zdumiewa jednak co
innego: brak skrupułów w omijaniu zarządzeń i uchwał,
przekonanie, że po cichu, powołując się na interesy
ludzi pracy, można osiągnąć to, co legalnie niemożliwe
do uchwycenia. Odnosi się też wrażenie, że ludzie przy-
jeżdżający do Zakopanego nie odczuwają działania cięż-
kiego smogu, który zalega inwersją, sprzyjając po-
stawianiu schorzeń dróg oddechowych.

Te podchody sprawiają sporo kłopotów wia-
drom miejskim, które przecież nie w ciemności błądzą.
Oto w odpowiedzi na interpelację pewnej poważ-
nej instytucji z Katowic, dotyczącej zresztą odm-
iennej nieco kwestii, naczelnik Lech Bafia, były
działacz Polskiego Związku Narciarskiego, stwierdza
mimoходом, „iż z wymienionych w wykazie
zakładowych ośrodków czasowych... aż 33 pro-
wadzi działalność nielegalnie”, co pomijając aspekt
prawny poważnie „komplikuje sytuację gospodar-
czą Zakopanego”. Obok nowego gmachu Urzędu
Miejskiego, który należy do nielicznych udanych
budynków wzniesionych w ostatnich latach, spo-
czywa na ziemi wielka przestrzenna rzeźba, do
złudzenia przypominająca model ucha ludzkiego.

— To ucho prezesa — mawiają zakopiańscy, mając
na myśli magistrata Bafię. W tym mieście słuch społeczny
trzeba mieć rzeczywiście wyostrzony, do tej pory bo-
wiem dają o sobie znać stare problemy i nowe sprzecz-
ności interesów, którym daleko do prostego modelu:
własność prywatna — własność społeczna. Jeśli w tej
sytuacji ukrócono przynajmniej samowolę przetrans-
zowanych „inwestorów”, z pewnym optymizmem można patrzeć
w przyszłość Zakopanego. Rozległy program rozwoju
całego regionu, uwzględniający m. in. budowę siedmiu
nowych hoteli, nasuwa co prawda niektórym publicystom
obawy, że pod Tatrami wyrośnie rozleglejsze niż do-
tąd i bardziej nowoczesne „bankietowisko”. Przypomnij-
my zatem, że o charakterze takich właśnie miejscowości
w poważnym stopniu decyduje styl bycia odwiedzają-
cych je ludzi, a nikt nie jest dziś w stanie zmusić
tubyleców, aby godzili się na rolę skansenowych
postugaczy. Nie ulega jednak wątpliwości, że pora już
na dokładne określenie turystycznej pojemności Zako-
panego i okolic. Ten właśnie wskaźnik winien pod-
lować wszelką działalność programowo-inwestycyjną.
Niestety, buja on jeszcze po halach Tatrzańskie Parku
Narodowego, który zresztą posiada swoje odrębne kłopoty.

Tymczasem Karola nie ma, a ja ślęczę nad ki-
logramami dokumentów Urzędu Miejskiego. Więc
odwiedzmy „Murowaną Piwnicę”, gdzie właśnie
„Szwedka” na krajowym urlopie bankiet prywatny
wydaje dla przyjaciół, a pani Mariola dla siebie
samej zamawia u orkiestrantów melodie kliki, pro-
sząc szefa o podanie innego nadawcy owego
przesłania. Bar obłożony. Panienski raczej bezro-



Fot. Archiwum

botne, a jedna słowem ostrym i pięścią goni kon-
trahenta po parkiecie, albowiem tenże nie wy-
robił się do grosza. Jakieś towarzystwo czasowo
tupotem straszliwym w tańcu erotycznym glu-
szy kompleksy przywiezione drugą klasą osobo-
wą. „Orbisowski” kelner, podobny do Tony Cur-
tisa (w okularach), pogardę rozdziela laskawie
między stolki, na których zaledwie „harcerzyki”
i „tatarów” trzech.

— A w tym oto rachunku za dużo o 32 złote
pan chesz — zwracam uwagę owej postaci.

— A to ja się pomyliłem, oddać rachunek pro-
szę, a także przepraszam, nowy sporządź.

— A Karola pan znasz?

— Słyszałem, w „Jedrusiu” pracował, a teraz...
A teraz Karol kieruje wywrotką zakładu oczy-
szczania miasta.

Ireneusz J. Kamiński

Zakopiańskie ucho prezesa

o dobroduszej twarzy.

— Znasz pan Karola? — pytam w dobrej wie-
rze. Miłe oblicze zakopiańczyka zmienia się nie
do poznania, on mnie chyba udusi.

— Patrzcie go, znalazł się dupek dowcipny.

Słońce świeci, ptaszków nie słycać, głośnik na-
tomiał melodią szafuje, w przerwach zachęcając
do odwiedzin Spółdzielczego Domu Handlowego
w centrum miasta. W tym wesołym rejonie stacja
benzynowa stoi, zapachy rozsiewając techniczne,
obok wykopami suną wielkie koparki, zbliżając
Zakopane do upragnionego wodociągu. Tymczasem
w miesiącach letnich do szpitali dowozi się wodę
bezkwoczami.

Na Krupówkach tłum rozedrgany sunie w tę i z pó-
wrotem, a jest to na pewno tłum malowniczy, choć
już nie tak bardzo jak kiedyś, przed kilkunastu laty,
kiedy to zimową stolicę Polski faszerowała mamona
i obyczajem warszawsko-lódzka prywata. 14 tysięcy łó-
żek w domach czasowych tuli dziś nieco inną kliente-
lę, która w tym wspaniałym miejscu zyciodajnym, jak
twierdzą foldery, awansuje psychicznie, paradując po
deptaku z talerzykiem pełnym frytek, albo z kiełbasą
i rożną, czy też z plackiem kartoflanym za 2 złote
sztuka (bez cukru). Zamawiam podwójną porcję, dekla-
rując swoją przynależność społeczną, chcę popić sokiem
z marchwi, ale długość kolejki zniechęca do witamino-
wej uczy. Kolejki zresztą wszędzie są pokaźne, choć
na pewno mniejsze niż przed rokiem. Zatem na piwo
żyweckie do kawiarni orbisowskiego hotelu zmierzam.
— 22 złote pan płaci.

Kwaterę mam w „Morskim Oku”, w pokoju
trzyosobowym, bez łazienki, lecz z telefonem i czy-
stym.

— Ma pan szczęście, bo to hotel pierwszorzędny,
a poza tym łóżko dostać w zakopiańskich przybytk-
kach uspołecznionych to tak, jak w totka wygrać
lewą ręką. Jest tych łóżek tylko dwa tysiące, gdy
tymczasem w kwaterach prywatnych — dwadzie-
ścia tysięcy.

W ostatnich kilkunastu latach postawili ludzie
w Zakopanem około 1300 prywatnych domków, na-
zywając je dla niepoznaki jednorodzinymi. Spa-
dziste dachy, tykające nierządno ziemi, kryły po
kilka pokoi, które wynajmowano od ręki, albo
puszczano w dzierżawę przeróżnym instytucjom
i przedsiębiorstwom z północy, wschodu, zachodu
i centrum Polski. Rocznie dawały one na czysto
po kilkadziesiąt i kilkaset tysięcy złotych zysku,
bo zamiast np. pięciu łóżek dzierżawcy wstawiali
do pomieszczeń dziesięć, odpowiednio więcej płacąc
właścicielom. Ten fatalny w skutkach flirt z
prywatną inicjatywą umożliwiła uchwała, która
kilka lat temu wstrzymała wnoszenie domów
czasowych w Zakopanem. Mądra była, bo miała
na celu rozwój prawdziwej turystyki, bo sprzeci-
wiała się przekształceniu Zakopanego w bankie-
towisko. Niestety, w ślad za nią nie szły inwestycje
z zakresu tzw. bazy otwartej, nie budowano
ogólnie dostępnych hoteli i schronisk turystycz-
nych. A cała pracująca Polska chciała oddychać
właśnie w tym górskim ośrodku, wzniesionym w
wyobraźni jeszcze wyżej — za sprawą klimatu
i artystycznej tradycji.

Otwieram okno pokoju na trzecim piętrze
„Morskiego Oka”: śmierdzi. Jeden komin w odle-
głości kilku metrów, następnie dwa dymią zaraz
za nim. Także zajężdża kapusta. Niemal cztery
i pół tysiąca zakopiańskich posesji spala rocznie
ponad 50 tys. ton węgla i koksu, doprawiając

sem „Verkauf im Hof”: na czymś, co przypomina sto-
dół, tablica z kategorię zakazem wstępowania do
wytwórni pamiątek z miedzi. Zapraszają obok, do skle-
piku, gdzie kilogramy pierścieni i medalionów z czer-
wonego metalu wabią oko.

Obok „Poraju”, gdzie Karola nie znają zupełnie i tłum-
maczą, że lokal nie jest prywatny, widzę ślady po ro-
zebranym domu. To echo sprawiedliwości, która zlikwi-
dowała kilkanaście nielegalnie wzniesionych wili. Zja-
wił się dziękliwy budownictwa zniknęło z Zakopanego, w
nieco „zracjonalizowane” postaci występując przeciw
w pobliskich gminach Poronin i Kościelisko-Witów, któ-
re zostały niedawno przyłączone do miasta. Ta integracja
umożliwia sensowne kierowanie ruchem turystycznym
i prowadzenie odpowiedniej polityki inwestycyjnej na
obszarze całego rejonu tatrzańskiego. Prawdę mówiąc,
to jednak kwestia przyszłości, czyli środków material-
nych, zwiększenia mocy przerobowej miejscowego przed-
siębiorstwa budowlanego, rozwoju usług...

Wieczorem trafiam do kawiarni „Morskiego Oka”:
gra muzyka, nie ma miejsca. Jacyś dwaj panowie o
zdrowych obliczach zapraszają gościem do swojego sto-
lika. Piją wino, jedzą kurczaki. Okazuje się, że mam
do czynienia z Jugosłowianami, budującymi hotel orbis-
owski na 600 miejsc. Zaczęli w lipcu ubiegłego roku,
skończył przy końcu czerwca. Dochodzimy do wniosku,
że w finale piłkarskich mistrzostw świata Polska spotka
się z Jugosławią... Ci miłośnicy codziennie wizytowali
kawiarnię „Morskiego Oka”.

Poza wspomnianym obiektem „Orbisu” wznoszone są
w Zakopanem hotele „Gromady” i „Juventuru”, rozbu-
dowywany jest hotel „Imperial”. Kładzie się nowe i mo-
dernizuje stare ulice. Rozpisano konkursy otwarte na
projekt zagospodarowania przestrzennego Równi Krup-
owej, gdzie staną obiekty centrum kulturalnego. Opra-
cowano program ochrony środowiska naturalnego. Po-
wołano Tatrzański Fundusz Rozwoju, na którym w
ubiegłym roku zgromadzono 30 mln zł, opodatkowując
m. in. łóżka w domach czasowych — 500 zł od sztuki
rocznie. Uruchomiono Tatrzańskie Przedsiębiorstwo Tu-
rystyczne „Tatry”, będące jedynym dysponentem bazy
noclegowej krajowego, masowego ruchu turystycznego.
Przystąpiono do deklomercji sanatoriów i niektórych
zakładów przemysłowych. Słowem: stworzono przede
wszystkim podstawy organizacyjno-administracyjne fak-
tycznego renesansu Zakopanego jako ośrodka turystycz-
nego, wypoczynkowego, kulturalnego i sportowego.

Punktem wyjścia tych działań jest znana
Uchwała Rady Ministrów nr 306 z grudnia 1972 r.
w sprawie rozwoju Zakopanego w latach 1972 —
1980. Na 14 stronach mieści ona 28 paragrafów
ustalających kierunki i metody postępowania, na
7 stronach druku przedstawia szczegółowy pro-
gram inwestycyjny planu centralnego i terenow-
ego, zamykający się kwotą niemal 2 miliardów
złotych.

Realizacja planu centralnego nie powinna na-
potkać na większe kłopoty, gorzej natomiast z te-
renowym. W 28-tysięcznym Zakopanem brakuje
rąk do pracy, a budżet drenowanego przez wiele
lat miasta także jest skromny. Więc władze zmie-
rzają do tego, aby wszystkie przedsiębiorstwa
i instytucje, które mają swoje placówki w Zako-
panem, płaciły na wspomniany Fundusz Rozwoju.
Maksymalnie wyśrubowały także taką zdrowi-
ską, co wzbudza różnorodne sprzeciwy. Zmie-
rzają do centralizacji obsługi ruchu turystycznego
w przedsiębiorstwie lokalnym, przecinając w ten
sposób odpływ dochodów do instytucji central-
nych. Zakopane kręci się wokół pieniędzy, tyle

Dzień pierwszy i następne

LUBLIN w tym dniu: rzeka pochodu płynie przez całą jezdnię, tony orkiestr biją w budynek poczty, młoda zielen Placu Litewskiego wpycha się w barwny witraż szturmówek, chustek, ósemkowato wirujących wstęg. Lukiem z jezdni na trybunę przefruują kwiaty. Pierwszy Maja.

Obchodzimy go w PRL po raz trzydziesty. Wiek pokolenia. Ale niezależnie od tego, że w sumie dokonana wydaje się, jakby tych lat było jeszcze więcej, za każdym razem odczuwamy świeżość pierwszomajowego nastroju. Tak przyjmuje ludzka natura. Wszystko, co jest ruchliwe, dynamiczne, barwne wraża się w nią z większą wyrazistością. Niezależnie od tego ma w tym swój udział również refleksja. Wiemy, że każde Święto Pracy jest teźże pracy nowym bilansem, jest do dalszych osiągnięć nowym startem — i to defiladę przemysłu, rolnictwa, wszystkich dziedzin naszej gospodarki owiewa entuzjazmem.

Dlatego chciałoby się powiedzieć, że 1 Maja jest prywatnym świętem każdego z nas. Tak jest w istocie: efekty organizacji społecznej idą na użytek człowieka. Pojedynczego i zwyczajnego. Nie dla biurowych statystyk ani dla artykułów wstępnych powstają tony elementów prefabrykowanych na osiedla mieszkaniowe. Nowe szpitale, szkoły, dworce i środki komunikacji. Rosnące siły produkcyjne w stoczniach. Elektrownie. Wreszcie to, co wyprzedza potrzeby jeszcze dzisiejszego dnia, ale stanie się realnym środkiem zaspokojeń już w dniu jutrzejszym. I dla każdego pracującego jest głęboka satysfakcja w tym, że nie oczekuje na zrealizowanie się tych procesów poza jego udziałem. Ze w bilansie 1 Maja znajduje się i jego zasługa. Twoja. Który idziesz w szeregu, który stoisz na chodniku, który możesz nie być objęty obiektywem aparatu fotograficznego.

Wysiłek? Zawsze podejmujemy wysiłek. Inaczej naszego kraju nie pokryłaby się urządzeń zaliczanych do awansującego przemysłu, a polska myśl naukowa i techniczna nie miałaby tak wysokiej ceny eksportowej. W tym jednak rzecz, że umiemy już stosować metody — a o lepsze jeszcze chodzi — by praca nie liczyła się wyłącznie jako ciężar, ale znajdowała istotny akompaniament w postaci zainteresowania i zadowolenia. By odpocząnek coraz bardziej stawał się udziałem w zajęciach acz nie produkcyjnych, to przynoszących pożytek zdrowotny, kulturalny, umysłowy. To zależy od organizacji społecznej. Od jeszcze skuteczniejszego wdrażania elementów zbiorowego porozumienia. Od stopnia nowoczesności. Weszliśmy na tę drogę i przebywamy jej etapy szeregiem reform przeprowadzanych w oparciu o dokładne rekonesanse poszczególnych dziedzin naszego życia. „Druga Polska” to finalny cel tych przedsięwzięć.

Jeszcze nie wiemy, jak będzie wyglądała „druga Lubelszczyzna”. Wiemy tylko, że przez węgiel może się gruntownie zmienić oblicze naszej wojewódzkiej gospodarki. Nie stanie się to jednak w trybie cudownym, gdyż nawet najlepiej koksujący węgiel nie jest czarodziejem. Czarodziejem jest człowiek. Jeśli potrafilibyśmy z obszaru dawnego zaniedbania uczynić kawałek Polski skutecznie zmierzający do czołowych wskaźników pracy i wydajności, jeśli na miejsce dawnych siewów ręcznych i żniw odbywanych kosami wprowadzilibyśmy nowoczesne rolnictwo z jego wyposażeniem technicznym i metodyką upraw, możemy bez obawy patrzeć na zadania wylaniające się z tej najbliższej — znanej i z tej dalszej — przewidywanej przyszłości.

Ta myśl jednoczy nas w obliczu pierwszomajowego święta. Wszystkie moce naszej produkcji, owiane czerwienią pierwszomajowych sztandarów, kierujemy na budowę lepszego jutra. Dla nas i dla pokoleń następnych. Dla Polski — ojczyzny ludu pracującego.

Lublin. Lublin w tym dniu. Właśnie wtedy wyraźnie widać, o ile za wąską mamy główną ulicę.

Tradycyjnie już Święto Pracy otwiera start do pasma imprez pod nazwą Dni Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Upowszechniamy kulturę w ciągu całego roku, ale maj daje sposobność do przyspieszenia tempa choćby przez fakt, że na trasie roku kulturalno-oświatowego jest etapem finiszowym.

Szerokim frontem wychodzimy do środowisk robotniczych, na wieś, do osad, osiedli i skupisk ludzkich, które w maju są frekwentowane częściej niż w innym czasie.

Przemieszczenie elementów kultury, tak znamienne dla programu kultury socjalistycznej, uzyskuje swą widoczność szczególnie w Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Zespoły fabryczne wyjeżdżają na wieś, wiejskie składają wizyty ośrodkom miejskim. Tasowanie treści i stylów, charakterów i propozycji ożywia krwiobieg kultury województwa, daje asumpt do przemyśleń i konfrontacji. Argument Dni nie może pozostać bez wpływu na proces programowania. Każdoroczny maj dorzuca do zasobu naszych doświadczeń treści istotne i przydatne w dalszym działaniu.

Pierwszy dzień maja jest manifestacją jedności politycznej. Następne dni tego miesiąca będą pochodem dokonań w upowszechnianiu socjalistycznej kultury.



1-Majowa trybuna. 1973 r.

LUBELSKIE MAJE XXX-lecia

Dokończenie ze str. 1

Organizowana jest wielka, masowa impreza sportowa — „Wiosenne biegi na przelaj”.

Ale co pewien czas miastem wstrząsają wiadomości o krwawych poczynaniach grup reakcyjnych, które nie chcą pogodzić się z faktem istnienia Polski Ludowej. I tak na przykład 21 kwietnia została zamordowana Stefania Jacheć, rodowita lublinianka, podporucznik Wojska Polskiego, uczestniczka walk o wyzwolenie Pragi i Warszawy, kiedy przyjechała do Lublina żeby odwiedzić matkę.

Już 30 kwietnia po południu domy lubelskie udekorowano flagami biało-czerwonymi i czerwonymi. Miasto, uporządkowane i wysprzątane, szykowało się do święta majowego. Następnego dnia od rana świeciło słońce. Ze wszystkich dzielnic ciągnęły gromady ludzi, kierując się na Plac Litewski. Tego dnia ukazał się 42 numer „Sztandaru Ludu”, dziennika Polskiej Partii Robotniczej, w specjalnej, odświeżonej szacie graficznej i w wyjątkowo dużej — jak na owe czasy — objętości 8 stron. W artykule wstępnym pisano:

56 lat mija od pamiętnego dnia, gdy międzynarodowy zjazd w Paryżu, oparłszy się o uchwały kongresu Amerykańskiej Federacji Pracy w Saint Louis, postanowił uznać dzień 1-go Maja świętem klasy robotniczej. (...) I oto dziś nareszcie po wieloletniej dyktaturze sanacyjnej, po sześciu latach okrutnej niewoli niemieckiej, obchodzimy nasze święto w wolnej, demokratycznej Polsce. Pierwszy Maja 1945 r. obchodzimy w okolicznościach niezwykłych, które mają ten upamiętniać na wieki.

Całą gazetę wypełniały artykuły na temat sojuszu robotniczo-chłopskiego, wspomnienia o obchodach Święta Pracy w czasie okupacji i w sanacyjnym przedwojennym więzieniu na lubelskim Zamku. Artykuł zatytułowany: „Teatr „robotniczy” czy dla robotników?” podejmował sprawę krzewienia kultury masowej.

Na Placu Litewskim tłumy lublinian zbierały się przed frontem obecnego „Collegium Iuridicum”, którego balkon został ozdobiony sztandarami PPR, PPS, Stronnictwa Ludowego, TUR-u, ZWM i ZHP. Wic zagał przedstawiciel Związków Zawodowych,

po nim zabierali głos przedstawiciele Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej. Po wiecu uformował się pochód, w którym wzięło udział 25 tysięcy osób. Na czele pochodu, tuż za pocztami sztandarowymi, niesiono wielki portret Mariana Buczka.

Szli harcerze, kolejarze, robotnicy z fabryki „Plon”, z fabryki wag, „od Wolskiego”, i z fabryki obuwia im. Mariana Buczka. Pod sztandarem Samopomocy Chłopskiej maszerowali rolnicy z okolicznych gmin. Nie brak w pochodzie — pisał „Sztandar Ludu” — również przedstawicieli inteligencji. Jak dobrze wyszkolona, doborowa kolumna wojskowa, przechodzą głośno wybijając takt studentów politechniki. „Odbudujemy Warszawę ładniejszą niż była” — takie hasło widnieje nad głowami architektów.

W czasie czterogodzinnej manifestacji grały orkiestry wojskowe. W pochodzie widziało się wyjątkowo dużo kobiet — rzecz charakterystyczna dla tego okresu, ich mężowie i bracia byli jeszcze w wojsku. Wielu manifestantom dzień ten nasuwał wspomnienia sprzed roku, z cenjalnych uroczystości pierwszomajowych zorganizowanych we wsi Bójki w powiecie parczewskim, w których uczestniczył dowódca Armii Ludowej, Michał Rola-Zymierski. Wspominano też święto 1 Maja zorganizowane w 1944 r. we wsi Natalin koło Annopola przez miejscową organizację PPR. Uroczystość odbywała się w sali szkoły, a wśród cywilów widać było mundury partyzantów z oddziału „Przepiórki”.

W pochodzie niesiono transparenty. Większość z nich głosiła tradycyjne hasła pierwszomajowe, ale były również takie, które nawoływały: „Spekulantów do piwnic, ludzi pracy do jasnych mieszkań!”.

Wieczorem sala teatru i sale kinowe pękały od publiczności. W teatrze szła komedia Perzyńskiego „Lekkomyślna siostra”, kino „Apollo” wyświetlało „Profesora Wilczurę”, w „Bałtyku” można było obejrzeć komedię „Jaśnie pan sofer” a w „Rialto” — film francuski „Konflikt” z Corinne Luchaire i Rogerem Duchesne w rolach głównych.

Dwa lata później w lubelskim pochodzie pierwszomajowym brało udział już 35 tysięcy osób. Ludzie byli ubrani bardziej dostatnio niż w 1945 r.

wiele domów odbudowano i Krakowskie Przedmieście, przez które ciągnął pochód, nie razilo gruzami i pogorzeliškami. Łożono wielkie fundusze na rozwój kultury i oświaty, stawiano na rozwój rolnictwa. Województwo lubelskie — donosiła prasa — które ma charakter rolniczy, musi nadal czerpać swe zyski z rolnictwa. Aby jednak mogło ono dawać pożądaną dochody, wymaga najpierw wielkich inwestycji, które zaleczą lata wojenne. Właśnie uchwalono budżet WRN na rok 1947. Wynosił on 41 107 138 zł. Drugą największą pozycję w uchwalonym budżecie (po rolnictwie) — informował „Sztandar Ludu” — zajmuje oświata, na którą WRN kładzie specjalny nacisk. Celem umożliwienia niezamównej młodzieży szkolnej zdobywania wyższego wykształcenia, WRN utworzyła tzw. fundusz stypendialny, któremu dano do dyspozycji 600 tys. zł. Poza tym uwzględniono subwencje dla Towarzystwa Naukowych uniwersyteckich w wysokości 100 tys. zł, subwencje dla organizacji kulturalno-oświatowych (OMTUR, ZWM, „Wici”, ZMD, ZHP) w wysokości 600 tys. zł. Subwencja dla UMCS na zorganizowanie katedry stomatologicznej wynosi 500 tys. zł, na budowę domu akademickiego 300 tys. zł itd.

W pochodzie po raz pierwszy ulicami Lublina przejechały traktory — symbol zmian zachodzących w rolnictwie, a pochód zamknęła kawałkada lubelskich dorożek, jakby przypominając atmosferę starego, przedwojennego Lublina, odchodzącego już w przeszłość.

Przygotowania do obchodów Święta Pracy w 1949 r. upływały pod hasłem: „Masy pracujące Polski czynem czczą Święto 1 Maja”. Przed kilku miesiącami, w grudniu 1948 r., nastąpił niezwykle ważny moment w historii polskiego ruchu robotniczego, Kongres Zjednoczeniowy PPR i PPS, w którego wyniku powstała Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. Rok 1949 był ostatnim rokiem Planu Trzyletniego, postawiono sobie za cel przedterminowe jego wykonanie. W Lublinie sywały się jedne po

drugich zobowiązania pierwszomajowe. Hasło dali „buczkowcy” — jak ich wówczas popularnie nazywano — załoga Państwowej Fabryki Obuwia im. Mariana Buczka. Podjęli się oni wyprodukować w kwietniu 25 proc. obuwia ponad plan, co oznaczało produkcję wartości 3 900 000 zł. Wystosowany przez załogę apel do całego świata pracy Lubelszczyzny nie pozostał bez echa. Tak narodził się Czyn 1-Majowy Lubelszczyzny.

W pochodzie pierwszomajowym wzięło tego roku udział 80 tysięcy osób. Charakterystycznym akcentem manifestacji było eksponowanie nowoczesnych maszyn, którymi mogły się pochwalić zakłady pracy. Równocześnie próbowano ukazać na forum publicznym procesy produkcyjne. Na ciężarówce Lubelskich Zakładów Graficznych wieszono na przykład maszynę drukarską, na której drukowano na poczekaniu ulotki rozrzucone następnie wśród uczestników pochodu.

W 1950 r. poczesne miejsce w pochodzie zajmowali murarze. Był to okres bicia murarskich rekordów. Adam Gębala, podmajstry na budowie ZOR-ów, wykonywał 700 proc. normy, jego kolega, Dragan, ustanowił we wrześniu 1949 r. na budowie gmachów Fizyki i Chemii drugi najlepszy wynik w Polsce.

Pochody pierwszomajowe zaczynały m. in. nabierać charakteru wielkich widowisk. Szczególnie gorąco oklaskiwano doskonale prezentujące się kolumny sportowe, zapewniające takie atrakcje jak np. skomplikowane ćwiczenia na przyrządach sportowych zamontowanych na ciężarówkach. Kolumnę kolejarzy otwierała orkiestra, którą poprzedzała grupa elegancko ubranych, małych doboszów. Aktorzy dramatyczni i operetkowi maszerowali w kostiumach z aktualnie granych sztuk. Pochód zamykała kolumna zmotoryzowana.

Po południu i wieczorem bawił się Lublin na licznych zabawach i koncertach zorganizowanych pod gołym niebem. Święto pokoju — pisała prasa — stało się wielkim robotniczym świętem radości.

wzbudziła szalone owacje, prezentując niesioną nad głowami olbrzymią makietę hali produkcyjnej. W tym też roku, w okresie przedmajowym, ogromne zainteresowanie wywołała sprawa zastosowania przy skrawaniu metalu tzw. noża Kolesowa. Po warszawskim „Ursusie” druga w Polsce podjęła próbę zastosowania metody Kolesowa Lubelska Fabryka Maszyn Rolniczych, a miesiąc później Fabryka Samochodów Ciężarowych oraz lubelscy kolejarze.

W 1957 r. charakter pochodów pierwszomajowych uległ pewnej zmianie. Zrezygnowano z monumentalnych dekoracji, mniej było „żywych obrazów”. Pochód otwierały dzieci — przyszłość narodu. Tegoroczny pochód pierwszomajowy — donosiła prasa — nie mieni się takim bogactwem barw i emblematów, jak w latach poprzednich. W przeciwieństwie do tamtych, imponujących dekoracyjnością i dyscypliną grupową, nabrał on charakteru uroczystości niemalże rodzinnej. Potok ludzki płynie swobodnie, między trybuną i jezdnią trwa ustawiczna wymiana uśmiechów, pozdrowień, ukłonów.

Właśnie 1 Maja 1957 r. o godz. 16.05 lublinianie po raz pierwszy usłyszeli sygnał najmłodszej w kraju radiostacji, Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia. Audycję muzyczną w pewnym momencie przerwano, aby nadać dźwiękowy reportaż z wyścigu kolarskiego o puchar przechodni „Kuriera Lubelskiego”.

1 Maja 1971 r. wypadł w sobotę. Ze względu na dwa wolne dni, szczególnie wiele uwagi poświęcili organizatorzy na przygotowanie programu imprez towarzyszących — artystycznych, sportowych, turystycznych. Tego roku członkowie partii poszli w pochodzie z wpiętymi w kłapę czerwonymi kokardkami, zgodnie ze starą, rewolucyjną tradycją. Gospodarzami pierwszomajowej akademii byli lubelscy kolejarze. Przypadł im ten zaszczyt ze względu na uzyskanie pierwszego miejsca w krajowym współzawodnictwie w roku 1970 i zdobycie sztandaru Prezesa Rady Ministrów i CRZZ. W pochodzie uczestniczyło 120 tys. lublinian. Szło więc za początkami szlendarowymi 25 tysięcy uczniów szkół lu-



Pochód 1-Majowy na Krakowskim Przedmieściu. 1973 r. Fot. Trembecki



Fot. Trembecki



Fot. Trembecki

Zabawy ludowe, koncerty i przedstawienia weszły na stałe do tradycji obchodów Święta Pracy. W pięć lat po zakończeniu działań wojennych w manifestacjach pierwszomajowych wzięło na Lubelszczyźnie udział 772 tys. osób.

W okresie nasilenia przez kraje zachodnie tzw. „zimnej wojny” w pochodach pojawiły się kukły i karykatury najbardziej wrogich socjalizmowi polityków. Publiczność wzdłuż trasy pochodu bawiła się doskonale scenkami odgrywanymi przez kukły i maski. Pasjonowano się też coraz bardziej „żywymi obrazami” i każde przedsiębiorstwo brało sobie za punkt honoru by wpaść najciekawiej i najokazalej. W 1951 r., gdy wciąż aktualna była sprawa elektryfikacji wsi, podczas pochodu pracownicy ZEOL-u pokazywali, jak się montuje linie elektryczne, inni na poczekaniu zakładali instalację w wieszanej na ogromnej platformie wiejskiej chacie. Na samochodach MPRB robotnicy układali bruk uliczny, pocztowcy na swoim samochodzie urządzili agencję pocztową itd., itd. Nad samochodem Gazowni Miejskiej widniał transparent: „Kuchenka gazowa w każdym domu”.

W 1953 r. zwarta kolumna robotników Fabryki Samochodów Ciężarowych im. Bolesława Bieruta

belskich, za nimi czterotysięczna kolumna ZMS, dalej 8 tysięcy pracowników FSC, 10 tysięcy studentów i pracowników wyższych uczelni... Wśród nich — spora grupa uczestników trwającej właśnie Lubelskiej Studenckiej Wiosny Teatralnej, chłopcy i dziewczęta ze wszystkich prawie wyższych uczelni w Polsce. Za nimi... ogromna masa ludzi z transparentami i czerwonymi chorągwiemi, reprezentujących wszystkie dzielnice Lublina.

W ubiegłym roku manifestacja wyglądała podobnie. Frekwencja — największa z dotychczasowych, 140 tysięcy osób. O wiele więcej niż miał mieszkańców przedwojenny Lublin. Więcej niż połowa dzisiejszego Lublina.

Inne miasto, inni ludzie, inna twarz historii. Ilu było w tym pochodzie ludzi, którzy uczestniczyli w słynnym pierwszomajowym wystąpieniu lubelskiego proletariatu w 1928 r., kiedy to zmuszono władze miejskie do oficjalnego przemianowania ulicy Foksalnej na ulicę 1 Maja? Było to duże zwycięstwo proletariatu lubelskiego — pisał o tym wydarzeniu historyk — który wchodził w okres zaciętych walk z narastającym systemem sanacyjnym.

Mirosław Derecki

Alfred Sierputowski

Dzień dobry, umęczony wzroku,
czas ciebie ciągle unieważnia.
Umyślcie, ty mi wyprorokuj
drogę oczyma wyobraźni.

Takim nie stanąć przy Temidzie,
nie kłaść na wagę swego wiano.
Kotowski cień z nas będzie szydził,
że ślepiec ślepca chce okłamać.

Zawsze powracam tu o zmierzchu,
czyby odejść znów przed świtem
do nieprzebranych dotąd przeskód
codziennym szarym zwykłym rytmem.

Pytania wierzq okiem bestii
i wątpliwości ogniem zianoq.
A czynom trzeba jest amnestii
a myślom — dotrzeć do swych damów.

Jeszcze dogodnych brak połączeń,
aby w zawody stawać z czasem.
Myślom się marzy takie słońce,
co żaden zmierzch go nie ugasi.

Coś w nas dojrzewa nieustannie,
że trzeszczą ziarte rdzą spojenia.
Ciągnięty wielką siłą pragnień
i skalę drąży pęd korzenia.



Rys. E. Ingłot

Wyrastam, ziemio, z twojej mocy,
nie swoją wolą do ciebie wracam
— dojrzewający kształt owocu.

Wyrastam, ziemio, z twej słabości,
jak hazardzista, gdy dla gracza
stawką jest wieczność przy nicości.

BYL poniedziałek, pierwszy dzień kwietnia, słoneczny i ciepły. Ładnie pewno cocięła się panna-aprinsowe czyniła sobie wujcenne, ale ja od rana, w swaryca oznasaci i nieogolony, sięcałem nad artykułem o nadużyciach w paru szkołach Lubelszczyzny. Też mi miał być na przedwczoraj, tenat był nad wyraz demaliny, zuziała się poła obiadowa, utknąłem właśnie nad piątą wersją pierwszej strony i zanosiło się, że noc będzie moim królestwem. Nadzwyczaj miżerne perspektywy.

I wówczas zadzwonił telefon. Damski głos spytał, czy to ja, następnie powieścił, że nazywa się Anna B., jest dziennikarką z „Ita”, właśnie przeżywa od tygodnia w Lublinie, ma ostatnio kłopoty, powołuje się na jednego z młodych miejscowych dziennikarzy (tu padło znane mi nazwisko), który skierował ją do mnie, i czy nie moglibyśmy się zaraz zobaczyć? Pomyślałem, że trzeba koleżankę wysłuchać. Więc niecaż zaraz do mnie przyjeżdża, byle na krótko, bo nie mam wiele czasu. Na tym stanęło.

Dziewczyna była młoda, przysadzista, krótko oszyziona blondynka. Ubrana w przeciwnodżone futerko, czystą bluzkę i „sawedy” z czarnego sztruksu. Z miejsca przeszła na „ty”, choć u mnie głowa już nieco szpakowata (pomyślałem, że widać teraz taka moda towarzyska). Spytałem, co jest grane (żeby się dostosować do konwencji młodzieżowej)? Ale przedtem poszedłem zaparzyć kawę (żeby się znaleźć w roli gospodarza domu).

A no mieszka w najlepszym tutaj hotelu i od paru dni zoiera materiał o życiu seksualnym lubelskich studentek. Rozmawiała z dziewczynami, rozmawiała z rektorami, sytuacja jest drażliwa, a materiał kontrowersyjny. Już zamierzała wracać do Warszawy i siadać do pisania, kiedy spotkał ją despekt ze strony lubelskich organów ścigania. Zabrano jej kasety magnetofonowe i legitymację dziennikarską, kazano natychmiast wyjeżdżać do stolicy. Co ma robić w tej sytuacji, zupełnie nie wie. Jest roztrzęsiona, była w szpitalu, gdzie aplikowano jej środki uspokajające.

Poszedłem do kuchni zaparzyć drugą kawę, a przede wszystkim po to, żeby się zastanowić. Sprawa wyglądała niesłychanie, ale dziewczyna, choć inteligentna, wyglądała na mało doświadczoną i kto wie, jakiej biedy mogła sobie napytać. Tak pomyślałem i poradziłem koleżance, żeby się skontaktowała ze swoim szefem z „Ita”. Usłyszałem, że już się skontaktowała. Szef przyjeżdża nazajutrz i ona chce na niego poczekać, ale chyba zbraknie jej pieniędzy, bo nie liczyła, że tak długo zabawi w Lublinie, więc czy bym jej nie pożyczył 50 albo 100 złotych? Rozczuliłem się nawet.

Chodziło o zwykłą koleżeńską przysługę, jakiej sobie w branży nie odmawiamy nigdy w podobnej sytuacji, toteż, choć kwota wydała mi się podejrzanie niska, wyasygnowałem „stówę”. Wypiliśmy kawę, pogwarzyliśmy o pracy w „Ita”

(orientowała się nieźle), o studiach dziennikarskich (orientowała się nieźle), które — powiada — niedawno skończyła, o aktualnych głośniejszych procesach sądowych (orientowała się nieźle). Miła do mnie nazajutrz zatelefonowała. Poszła, a ja zasiadłem do nadużyć szkolnych.



Noc istotnie okazała się moim królestwem, powstał artykuł — jak to powiadają — wyważony, z którym następnego dnia z samego rana pojawiłem się w redakcji. Zaś Anna B. już tam była. W swoim przechodzącym futerku, bluzce i czarnych „szwedach”. Oświadczyła, że szef jej przyjechał, właśnie rozmawia z kim trzeba i będzie rozmawiał jeszcze długo, a ona nie ma nawet na obiad. Spytałem, czy 40 złotych wystarczy? Wystarczyło, i na tym zasadniczo urwał się mój kontakt z Anną B., choć ona w Lublinie była jeszcze przez następny dzień, a potem wyjechała w lubelskie powiaty.

I wówczas poczęły do mnie docierać wieści dziwne. Ze Anna przemieszkała tydzień w najlepszym lubelskim hotelu na rachunek kredytowy, nie poświadczony przez żadną instytucję. Ze korzystała z hotelowej maszyny do pisania. Ze używała magnetofonu kasetowego wartości kilkunastu tysięcy złotych, wypożyczonego na piękne oczy z radiowęzła akademickiego. Ze konferowała ostro ze wszystkimi lubelskimi rektorami. Ze przeprowadzała wywiady z osobistościami na szczeblu powiatu. Ze w jednym z powiatowych szpitali wykryła brudy, a dyrektor prosił ją, żeby o tym nie pisała. Ze złożyła

falszywe zameldowanie o przestępstwie. I że — na koniec — została aresztowana i wiasnie siedzi!

Zatelefonowałem do „Ita”. Wtedy okazało się, iż oni w ogóle nie znają takiej dziennikarki, natomiast ją zna Alicję R., która się podaje za Annę B. Alicję R., która jest miłośniczką, znaną całej warszawskiej milicji. Wreszcie poradzono mi, żeby bym przeczytał artykuł pt. „Masz Alicję R.”, mający się ukazać w 13 numerze „Ita”. Artykuł ow konczy się następująco: „Alicja znalazła się na pustym obszarze, na styku pomiędzy zakresem oddziaływania organów ścigania i służby lekarskiej. Lekarze twierdzą, że powinna się nią zająć milicja, milicja twierdzi, że to sprawa lekarzy.” Może ta kwestia doceeka się ostatecznego rozstrzygnięcia właśnie w Lublinie?

Jeśli ta dziewczyna, będąc osobą chorą, potrafiła dokonać tego, co dokonała — to ja przestaję rozumieć, na jakim świecie żyję. Założmy więc, że jest zdrowa, przynajmniej w granicach określanych przez psychiatrów sądowych jako umiejętność kierowania własnym postępowaniem i możność rozpoznania znaczenia własnych czynów. Powstała wówczas pytanie, po co jej ta zabawa?

Ponieważ, choć inteligentna, jest niezym — więc bardzo chciałaby być kimś, bardzo chciałaby odmienić anonimowość własnego losu. Urodziła się w małym podwarszawskim miasteczku, gdzie mieszka jej rodzina — więc mówi, że ma rodzinę w Szczecinie, ojca chwilowo w NRF, zaś krewnego w „Wolnej Europie”. Zameldowana jest w tymże miasteczku — więc mówi, iż mieszka w Warszawie przy ul. Foksal i podaje nawet numer telefonu. Ma skończoną zasadniczą szkołę zawodową — więc mówi, że ukończyła historię sztuki i dwuletnie studium dziennikarskie. Ma kwalifikacje biuralistki — więc mówi, że jest dziennikarką. I tak dalej. Przypuszczam, że myśli o sobie słowami piosenki: „Naprawdę jaka jesteś, nie wie nikt, bo tego nie wiesz nawet sama ty”.

Po bohaterce tej historii został mi... brak 140 złotych i kilka jej fałszywych telefonów („do domu na Foksal”, „do drukarni”, „do radia”) oraz, oczywiście, niesmak. Przyznam jednak, że nie potrafię czuć oburzenia wobec Alicji-Anny. Historia ta, od początku do końca prawdziwa, choć Alicja-Anna od początku do końca sklamana, a więc historia ta jest właściwie absurdalna, na sposób może nawet gogolowski, jeśli nie w ogóle obłądny, skoro dwudziestoletnia mitomanka potrafiła zneglizować naszą rutynę, nasze grzeszki, a zarazem naszą naiwność. Jedyna moja satysfakcja dziennikarska, iż jest to pierwsza sprawa „pod paragrafem”, w której znalazłem się nie jako podglądacz, lecz jako uczestnik, a raczej, w zarym zresztą towarzystwie, jako ofiara.

Pom

PEDAGOGICZNE STARTY I FALSTARTY

SPÓR wyniki dość dawno z okazji studniówki. Nieśmiała maturzystka za niewielką opłatą (podobno) może wynająć studenta na tego typu uroczystości... nigdy jakoś nie słyszałam, żeby można wynająć studentkę. Moje męskie klasy cierpią zatem okrutnie i szukają w popłochu szkoły, która zgodziłaby się „wypożyczyć” im swoje panienki. Bardzo realistycznie podchodzi do tego jeden z kolegów — wychowawców:

— O co oni się tak martwią? Na dzisiejszą młodzieżową zabawę może śmiało iść mężczyzna z mężczyzną... No, co się tak patrzycie? — pyta widząc nasze zgorzzone miny. — I tak staną obok siebie i będą podrygiwać do taktu. Po co im te dziewczyny?

Projekt kolegi zostaje jednogłośnie odrzucony — ostatecznie skończył już te trzydzieści lat, wapniak, antyk, początki sklerozy, będzie się tu mądrzył! Wreszcie po długich targach zostają zaproszone dziewczęta z najlepszego liceum ogólnokształcącego w mieście. Zabawa szykuje się więc znakomita.

Z racji obowiązku pedagogicznego grono nasze przychodzi nieco wcześniej.

— No, są już te dziewczyny? — niecierpliwi się kolega. Patrzymy na niego z politowaniem: od kiedy to gustuje w podlotkach?

— A nasi chłopcy, zobaczcie, jak się wystrzili — dodaje drugi — nie mogą przecież okazać się gorszymi od tych z ogólniaka... nie kończy, bo oto na sali pojawia się grupa... modelek?... uczennice?... kilkadziesiąt piękności z zwiewnych, długich sukniach, z wieczorowymi fryzurami, z makijażem prosto z Paryża...

— Ooo — słyszę jęk kolegi — I ONE dla naszych chłopców??? Przecież oni nie będą umieli z nimi nawet porozmawiać!!!

— Zawsze, co ogólniak do ogólniak — odpowiadam — awistnie, gdybym to ja tam uczyła, a tak tkwię w

tej zasadniczej... Niestety, nie mam już do kogo mówić. Całe męskie grono mojej szkoły skupia się wokół przybyłych. Zostajemy z koleżankami nagle osieroczone, za chwilę dołącza do nas wychowawczyni klasy zaproszonej, też młoda i też do rzeczy dziewczyna.

— Masz swoje podlotki — syczy do mnie koleżanka — teraz my będziemy stać pod ścianą!

— Ja wcale nie wiem, czy przyszedłem ze swoją IV d — omal nie płacze nowa towarzyska męskiej niestałości — tak się dziewczyny odmieniły... Wcale ich poznać nie mogę!

Muzyka zaczyna grać, uczniowie stoją onieśmieleni, primabaleriny spoglądają na nich z wyższością. Za to nasi panowie już tańczą.

— Czemu się nie bawisz? — woła zza stał fryzury swojej partnerki mąż Krystyny. — Świetna zabawa!

Krystyna zbiera wszystkie swoje rzeczy.

— Wracam do domu! Nie będę patrzeć, on z tą... tą...

— To Małgosia — usiłuje przekonać ją Elżbieta — moja najlepsza uczennica... Z fizyki ma piątkę...

W połowie zabawy zaczynają się wreszcie bawić i uczniowie. Intelktualna szermierka odpada, jest tak głośno, że wystarczy sama obecność. Po jakimś czasie i nasi kole-dzy przypominają sobie o nas.

— Zebyście wiedziały, co to za dziewczyny — entuzjazmują się.

Patrzymy na nich z pogardą. Dla kogo właściwie jest ta studniówka?

— Uwodzisz nieletnie — stwierdzam z godnością do kolegi — marnie skończysz.

— Nieletnie? — oburza się święcie. — Przecież to czwarta klasa! Niektóre mają po dwadzieścia lat!

MOJ przodek, właściwie kandydat na przodka, pozwalał się tytułować laskawie „stolnikiem”, ale podobno jako żywo z żadnym dworem królewskim nie miał do czynienia i nie był rekedajnym żadnego monarchy. Fama natomiast niesie, że naprawdę był początkującym „stolarzem”. Stolarzem oraz zaciekleym majsterkowiczem, pół-wariatem z szaloną fantazją, pokuszanym z nieczystymi mocami — i balwochwalcem wielbicielem płci pięknej...

Była zima z tak kopnymi śniegami, że dzisiejszy wieźwiec mógłby sobie w jego puchach zrobić kąpiel niczym w wannie i wystawiałaby mu tylko z niej głowa, czyli górne piętro. Wicher dał z całej mocy jak wszystkie orkiestry festiwalowe razem wzięte, a mój Stolnik zamarzył sobie podróż karetą do aktualnej bogdanki — do garderobianej na dworze, a mojej pra-pra-prababki. Garderobiana dała mu w liście do zrozumienia, że „niech się to stanie, czego sam chce” i o co ją tak unudza, byle tylko przyjechał, bo duchy straszą nocą we dworze, a ona lęka się spać bez towarzystwa. Stolnik — fantasta, nim wsiadł do pocztowej karety, zakradł się potajemnie do końskiego garażu, czyli wozowni, zamontował do podwozia dziwny metalowy przedmiot i skombinował tajemnicze połączenie przyrządu z kołami oraz osiami za pomocą drutów — dzisiaj byśmy powiedzieli — kabli. Potem już tylko spokojnie oczekiwał następstw, ściśnięty na ławce obok innych pasażerów.

W tak srogich warunkach zimowych nawet pozostała karetka po drodze ledwie przetartą przez królewską służbę drogową mogłaby się poruszać zaledwie w tempie żółwia. Tymczasem landara ruszyła z miejsca podejrzenie szybko, wzięła parę kolejnych wirów w tempie wyścigowych sań bobслейowych i rzuciła się prostą drogą z szybkością przysłowiowej strzały. Właściwie to nie konie — wypuszczone kłusem — ciągnęły karetę, lecz karetę, wprawioną w samodzielnny ruch, napierała na zady zdyszanych i zlewających siódme poty szkap, waląc taranem do przodu.

— Diabeł popędza karetę i ogonem popycha — strwożyła się pobożna pasażerka.

— Kiedy bo nie cuchnie siarką, dobrodżiko — zauważył wąsaty jegomość — ani też żadnymi piekielnymi spalinami.

Na dźwięk słowa „spaliny” Stolnik uśmiechnął się triumfująco i mocniej zacisnął pięść, w której trzymał tajemniczy przedmiot kulisty, połączony z podwoziem niewidocznym systemem drutów. Karetę zwiększyła wydajnie tempo, osiągając maksimum szybkości landarowej, co mówię, szybkości nie notowanej w żadnych annałach kursów pocztowych. Najmłodsza pasażerka z naiwną radością zrobiła spostrzeżenie, które można uznać za ówczesną rewelację komunikacyjną:

— Olaboga, nie zostawia kolein za sobą! Odrywa się od ziemi!

Sytuacja taka zwróciła oczywiście uwagę królewskich sił porządkowych patrolujących szosę. Jeden szwadron konnych hajduków uzbrojonych w króciące zajechał drogę z ukosa, podczas gdy drugi przeciął szlak pędzącego pojazdu w pewnej odległości, dającą czas na wyhamowanie karety. Pozornie skupiło się wszystko na stangrecie. Mimo iż próba z dmuchaniem w balonik z rybiego pęcherzyka dała negatywne rezultaty i uwolniła stangreta od zarzutu alkoholizmu, został spisany protokół o przekroczenie bezpiecznej szybkości landarowej i nadmierne zużycie energii końskiej w dobie oszczędności paliw organicznych. Stangret rzucił się do przysięgi, iż jest niewinny, ponieważ przyspieszenie pojazdu nastąpiło poza jego wolą i wpływem, z przyczyn zupełnie mu nie znanych.

— A próba uniesienia karety w powietrze i porwania jej wraz z pasażerami na obce lotnisko to co? — zirytował się sierżant hajduków. — Sam widziałem, jak pojazd zaczynał unosić się w powietrze.

Pobożna niewiasta, która od początku miała oko na Stolnika, wskazała go palcem.

— To on jest winien wszystkiemu. Terrorysta! Przyspieszacz i porywacz diabelski! Widziałam, jak majstrował coś przy karecie, nim ruszyliśmy. Stangret człek niewinny.

Hajducy drogowi zwrócili króciące w pierś Stolnika.

— Broń jest? Rozpylacz jest? — pytali natarczywie.

— Rozpylacz jest — odparł zimno Stolnik i spróbował sięgnąć ręką do sakwojaża.

FANTAZJA MIŁOŚĆ I WYNAŁAZEK

Romuald Lenech



— Ręce do góry! — krzyknął komendant — bo strzelam!

Tymczasem podkomendni porwali się do stolnikowego kuferka i wyjęli piękny rozpylacz z misternie rzniętego kryształu, z sutą pompką do rozpylania perfum.

— Dla wielbionej niewiasty — zarekomendował Stolnik swoją pra-pra-prababkę garderobianą i okrasił rekomendację wymownym przewróceniem galek ocznych.

Całe tłumaczenie zostało pojęte jako nikczemne szyderstwo. Na skinięcie sinego z gniewu komendanta rozpoczęto rewizję osobistą Stolnika. Niewiele brakowało, a gorliwi strażnicy natrafiliby na tajemniczy diabelski przedmiot, którym manewrował Stolnik, tak żywo przypominający kształtem granat. Szczęściem spostrzegawcza pasażerka krzyknęła bardzo przytomnie „wilki”, a kilku innych pasażerów poparło spostrzeżenie pełnymi okrzykami:

— Wataha wilków! Idą na nas!
W polu widzenia ukazały się wśród bieli niezmiernych śniegów ciemne pyski drapieżników. Oddział hajduków drogowych pokierował się nieomylnym instynktem żołnierskim. Ze słowami na ustach „Trudno, przemoc” i „Vis maior” oddalił się pospiesznie na rączych koniach, zostawiając w spokoju mego niedoszłego przodka i pasażerów. Stolnik zaśmiał się szyderczo, przełączył błyskawicznie zwoje z wnętrza pojazdu do kozła, skąd

spędził stangreta, wskazując mu swoje dotychczasowe miejsce, a sam pokierował karetą. Od niechcenia potraktował jeszcze na odjeździe kula z pistoletu kilka wilków, które próbowały zębami sięgnąć po danie obiadowe złożone z tłuszczyznych pasażerek, po czym wprawił karetę we wściekłe tempo. Pojazd, muskając zaledwie powierzchnię drogi, poprul wśród białego śniegów wspinałym zrywem. W niedługi czas potem w imponującym rajdowym tempie wjechał do miasteczka, pokonując w dwie godziny dwieście pięćdziesiąt kilometrów.

Przy odmontowywaniu od podwozia karety tajemniczego przyrządu metalowego i nawijaniu drutów na szpulę Stolnik posłyszał powtórnie opinię jednego z pasażerów, po której uśmiech głębokiej satysfakcji okrasił jego usta:

— I pomyśleć, że w drodze nie cuchnęło wcale żadnymi spalinami!

Szalony Stolnik nie zasnął jednak prawdziwego szczęścia. Wprawdzie wpadł wkrótce w ramiona mojej pra-pra-prababki garderobianej, wręczył jej cenny rozpylacz i spędził z nią noc, ratując niewiastę przed fatalnymi następstwami leku z powodu grasujących duchów, ale następnego dnia wdał się w nieswoje sprawy i marnie skończył.

Aby rozproszyć straszliwą nudę zimowego niżu znad Atlantyku, Stolnik postanowił zabawić męża chlebobawczyń swej umiłowanej tajemniczym wynalazkiem nadającym ową moc przyspieszenia karecie. Podłączył mianowicie metalową skrzynkę ze zwojami do końskiego kieratu, powodując działanie przyrządu bez udziału energii siwka. Na widok samoczynnie obracającego się kieratu szlachcic zadumał się ponuro i zmarszczył. Wieczorem na wszelki wypadek zaprosił Stolnika na butlę wina pamiętającą czasy kwadrygi rzymskiej, sam asekurowując się abstynencją i ślubowaniem. Do rana Stolnik wyzionął przykładnie ducha po dynamicie w płynie, a chlebobawca garderobianej kazał zniszczyć doszczętnie tajemniczy diabelski wynalazek ze zwojami.

Czytelnicy domyślają się, że przyrządem tym, wynalazkiem był pierwszy w historii prototyp akumulatora i zarazem silnika o napędzie tajemniczej energii, silnika, który mógł być służyć do poruszania wszelkich pojazdów systemem bezszmerowym i bezwzrostnym. Czytelnicy domyślają się również, jak niepowetowaną stratę poniosłem z tej przyuczyny, że Stolnik nie spędził większej ilości nocy z moją pra-pra-prababką i nie stał się niestety moim przodkiem, lecz zrobił to akurat całkiem kto inny. A także, a może głównie — że nie zakopał przed śmiercią swego akumulatora z silnikiem i że nie zostawił mi go w spadku. Przypuszczam, że potrafiłbym tajemniczy przyrząd poruszany zbawczą energią uruchomić, zastosować do samochodów i uratować ludzkość przed doktrynym zasmrodzeniem spalinami. No i miałbym chyba z tego tytułu najbliższego Nobla w kieszeni.

dziewczyny?

Barbara Koś

— Ta twoja — idzie mi w sukurs Elżbieta — ma lat siedemnaście, w dodatku to alkoholiczka.

— I ma krzywe nogi — dodaje pogodnie Halina — rnie zauważyłeś?

— Przecież miała długą suknię...

— baka niepewnie kolega. — Eee... chodźmy lepiej na górę coś przekąsić.

Podczas spożywania dóbr bożych wybucha dyskusja nad wyższością szkół, biorących udział w uroczystości. Koleżanka z liceum pierwszy raz styka się ze szkołą zasadniczą. Wiele rzeczy ją szokuje.

— Wy macie bardzo oryginalne metody wychowawcze — stwierdza — przed chwilą na korytarzu spotkaliście twoją ucznia z papierosem, co ty mu pokazałeś na migi? — pyta kolegi. — Przecież on natychmiast wyrzucił tego „sporta”!

— „Sporty” to może pała u was — oświadcza z godnością Rysiek —

nasz chłopcy pała „carmeny”, stać ich na to, pracują. A odnośnie tego gestu, to dałem mu tylko lekko do zrozumienia, że jest w szkole. Im czasami trzeba o tym przypomnieć, a po co zaraz słowa? Ja obchodzę się doskonale i bez nich...

— Boże, jak ja ci zazdroszczę — wzdycham — przecież to ty wyrobiłeś w moim Bogusiu awersję do gumy do żucia.

— To i u was to żują?! — cieszy się Elżbieta. — U nas to istna plaga! Najlepsze uczennice! Zupełnie powariowały! Jak to było?

— Taki tam osilek, 190 cm wzrostu, siedzi w pierwszej ławce — opowiadam — i żuje to świnstwo, demonstruje w dodatku niepojętej wielkości balony z ust. Tłumaczę mu, jak człowiekowi: idź to wypłuj, Boguś, bo wygląda nieestetycznie. A Boguś — jak ściana. I na to przychodzi Rysiek z jakimś ogłoszeniem.

Zaczyna je czytać, aż tu nagle Boguś demonstruje mu chyba największego balona, jakiego dotychczas udało mu się osiągnąć. Rysiek milknie w pół słowa: wypłuj to, mówi słodko do osilka. A Boguś jeszcze większego. — Słyszalesz, że masz to wypłuć? — całkiem już słodkiutki mówi Rysio. Moment — i Boguś do końca życia już gumy do ust nie weźmie! Tego mogę być pewna.

— Pewnie — dodaje chełpliwie kolega — tylko ty rozpuściłaś klasy, a teraz płaczesz, że ci po ścianach chodzą.

— Po ścianach to ty będziesz chodził nad ranem — konkluduje ponuro — ale zawsze jestem zdania, że w szkołach męskich powinni uczyć sami mężczyźni.

— Ja stawiam dwóje i mam spokój na lekcjach — oznajmia zdecydowanie Elżbieta.

— Dwóje to sobie możesz stawiać w liceum — wtrąca Marek — tam uczeń będzie miesiąc za tobą chodził, żebyś go poprawiła, a tutaj? Postawisz dwóje — „co tam, panie profesorze, to już szósta, jedna mniej, jedna więcej” — i spuści ci się po piorunochronie z drugiego piętra.

Dyskusję przerywa kolega wracający z „inspekcji pedagogicznej”.

— Nie ma to jak emancypacja kobiet — oświadcza z satysfakcją — przed chwilą cztery twoje uczennice — patrzy czule na Elżbietę, a zarazem z podziwem — odbiły... przepraszą, odkorkowały pół litra „jarzębiaku”, na holu pod kaloryferem... Gdzie leciś? — uspokaja ją — już wypity, nawet dla mnie naparstek nie został...

Studniówka kończy się nad ranem w optymistycznym nastroju. Do wniosków nie doszliśmy, niestety...

A więc jak to jest z tą wyższością liceum ogólnokształcącego nad szkołą zasadniczą? A może jest odwrotnie? Czy może — jak to mówią Anglicy — fifty—fifty?

Z DZIEJÓW KSZTAŁCENIA NAUCZYCIELI

Józef Marczuk

PODSTAWOWA formą kształcenia nauczycieli w okresie międzywojennym były seminaria nauczycielskie. Przyjmowano do nich absolwentów siedmioklasowych szkół powszechnych. W ciągu pierwszych trzech lat nauka miała charakter ogólnokształcący, ostatnie dwa dawały głównie przygotowanie do zawodu.

W Lublinie od 1916 roku istniały dwa seminaria nauczycielskie: męskie i żeńskie. Żeńskie zostało upaństwowione w 1918 roku, przyjmując nazwę: Państwowe Seminarium Nauczycielskie Żeńskie im. G. Piramowicza. Istniało ono do 1936 r., a mieściło się w gmachu dawnych szkół jezuickich (obecnie Woj. Archiwum Państwowe) przy ulicy Królewskiej. Po upaństwowieniu miało 78 uczennic, w roku szkolnym 1921/22 liczba ich wzrosła do 165, a w roku 1924/25 do 211. Fakt ten należy tłumaczyć zwiększonym zapotrzebowaniem przez szkolnictwo powszechne na wykwalifikowane siły nauczycielskie. W następnych latach liczba uczennic stopniowo zmniejszała się. W ciągu dwudziestolecia Seminarium przygotowało 428 nauczycielek. Szkołą

kierowali kolejno dyrektorzy: Władysław Jankowski, dr Zygmunt Myslakowski i Bronisław Szwarczyk. Wykładali doświadczeni pedagogowie: Maria Czyżowa, dr Kazimierz Frycz, Maria Wojciechowska, Halina Wołowska, Jadwiga Zaborowska.

W Seminarium, zwłaszcza w latach trzydziestych, przeważała młodzież wiejska, która po ukończeniu szkoły z reguły powracała do pracy na wieś. Szkoła zapewniała tej młodzieży zakwaterowanie we własnym internacie, udzielając niezamierzonym zniżek w opłatach. Inną formą pracy były stypendia państwowe oraz tzw. „stypendia wieczyste”, pochodzące ze składek od absolwentek tej szkoły. Część uczennic korzystała z zapomóg udzielanych przez koło rodziców oraz samorząd uczniowski, a także sejmiki powiatowe.

Poziom nauczania był wysoki, o czym świadczyć może dwukrotne zwolnienie uczennic od egzaminów dojrzałości przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Stosowano w niej nowoczesne, aktywizujące metody nauczania i wychowania. Przy pomocy własnych testów przepro-

wadzano badania psychologiczne w szkole ćwiczeń. Za zgodą Ministerstwa wprowadzono sporo zmian organizacyjnych w szkole, np. zmniejszono liczbę okresów klasyfikacyjnych z 6 do 4, a następnie z 4 do 3 w ciągu roku szkolnego. Zespół nauczycielski przejawiał dużo inicjatywy i elastyczności w realizacji programów. Starania grona o coraz wyższy poziom naukowy i wychowawczy zakładu przejawiały się także w ciągłym jego dążeniu do uzupełnienia własnego wykształcenia. W latach 1920—1936 rada pedagogiczna odbyła 402 posiedzenia, spośród których 98 poświęcono samokształceniu. Nauczyciele seminarium brali wielokrotnie udział w międzynarodowych konferencjach pedagogów (Locarno, Wiedeń, Genewa, Berlin, Kopenhaga).

Pomyślnie rozwijało się też Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie im. J. Słowackiego, upaństwowione w 1919 r. W roku szkolnym 1925/26 liczyło ono 220 uczniów i 21 nauczycieli. W 1937 roku zostało przekształcone w Liceum Pedagogiczne. Ogółem szkołę opuściło 546 absolwentów, którzy obejmowali pracę w Lublinie i na terenie województwa. Chlubą Seminarium był poeta Józef Czechowicz. Kierownictwo zakładu sprawowali: Kazimierz Pieracki, Władysław Bryda, a następnie przez wiele lat dr Franciszek Gućwa. Wśród nauczycieli znajdujemy nazwiska: Edwarda Supronowicza, Franciszki Frońskiej, Jana Piechoty, którzy wnieśli duży wkład do rozwoju oświaty w Lublinie. Brak podstawowych dokumentów źródłowych tej szkoły, które uległy zniszczeniu w czasie działań wojennych, nie pozwala na dokładniejsze otworzenie jej dziejów.

We wrześniu 1923 roku powołany został do życia roczny Państwowy Wyższy Kurs Nauczycielski w Lublinie. Przeznaczony był dla czynnych nauczycieli szkół powszechnych, których urlopowano na okres nauki. Zajęcia prowadzili doświadczeni pedagogowie z zakładów kształcenia nauczycieli. Dyrektorem był dr Henryk Gaertner. Program uwzględniał w latach 1923—1926 specjalizację z przedmiotów huma-

nistycznych, a w latach następnych miał charakter matematyczno-fizyczny. Przygotowywano w nim nauczycieli specjalistów dla starszych klas szkoły powszechnej.

Od 1928 roku istniała w Lublinie nowa uczelnia — Państwowe Pedagogium im. E. Estkowskiego. Warunkiem przyjęcia było świadectwo dojrzałości szkoły średniej. Nauka trwała dwa lata i była bezpłatna. Organizacja nauczania miała charakter zbliżony do wzorów akademickich. Program obejmował przedmioty pedagogiczne oraz kierunkowe. Studentów pedagogium obowiązywała specjalizacja w jednym, dowolnie wybranym przedmiocie: filologii polskiej, filologii niemieckiej, historii. Ukończenie pedagogium dawało uprawnienia do nauczania w wyżej zorganizowanych szkołach powszechnych. Uczelnia istniała do 1939 roku. Dyrektorem jej był zasłużony pedagog Wiktor Helman. Wykładali w niej dr Leon Białkowski, dr Aniela Chałubińska (obecnie profesor UMCS), Maria Czyżowa, Jadwiga Gajdzińska, Ludwik Pawłowski i inni.

Dokształcaniem czynnych nauczycieli zajmował się Związek Nauczycielstwa Polskiego. Zarząd Okręgu ZNP w Lublinie zorganizował w 1926 roku Korespondencyjny Wyższy Kurs Nauczycielski o kierunkach humanistycznych i geograficzno-przyrodniczym. W roku następnym utworzony został na WKN kierunek matematyczno-fizyczny oraz robót ręcznych i rysunków. Związkowy WKN miał charakter prywatny. Dwuletni jego program był oparty na WKN państwowym i obejmował zarówno przedmioty pedagogiczne, jak też kierunkowe. Uczestnicy po zrealizowaniu programu zdawali egzamin przed państwową komisją egzaminacyjną i otrzymywali takie same uprawnienia, jak absolwenci kursów państwowych.

Kształceniem nauczycieli dla szkolnictwa średniego zajmowały się wyższe uczelnie o charakterze akademickim, a zwłaszcza uniwersytety. Ale to już osobna sprawa.

JUŻ po raz trzeci w Świdniku spotkały się na Wojewódzkim Przeglądzie Młodzieżowych Zespołów Muzycznych najlepsze grupy Lubelszczyzny. Przynajmniej taka była tego festiwalu idea. Wielosobowe jury solidnie się napracowało przez kilka miesięcy, przesłuchując dziesiątki zespołów, typując (to też niełatwe zadanie) najlepszych do finału. Aktywność świdnickich działaczy zaskakuje z dnia na dzień: festiwal, Forum Filmowe i wiele innych imprez, często cyklicznych. Prowincja (przepraszam, ale to słowo-klucz), dusząc się w swej małej klatce, przyciąga do siebie coraz częściej publiczność Lublina, staje na ustach wszystkich działaczy województwa.

Przeгляд zespołów jest w tej chwili jedynym sprawdzianem poziomu artystycznej działalności, wyławiaczem talentów i konfrontacją rocznych osiągnięć; jedynym poważnym i poważnie traktowanym spotkaniem ludzi, którzy życie — zbyt często — widzą tylko spoza silnych świateł reflektorów. Ten narkotyk, irracjonalna obawa przed klęską, zawsze miały to do siebie, że raz schwytanego człowieka nie opuszczały nigdy. Ale też to jest jego istotą.

Do konkursu stanęło siedem młodzieżowych grup muzycznych. Słowo „młodzieżowy” w odniesieniu do muzyki rozrywkowej mocno się już zdewaluowało, gdyż zbyt często naszymi idolami są panowie grubo po trzydziestce. W Świdniku adekwatność tej nazwy nie budziła zastrzeżeń. Przeciwny wiek wykonawców to ociemniałość, dziewięćnaście lat.

„M-4” z Chełma zgarnął wszystkie najważniejsze nagrody, jego występ był rarytatem w stosunku

Co wolno Niemenowi...

Jacek Grün

do innych prezentacji. Była to chwilami kompilacja pomysłów melodycznych i aranżacyjnych spotykanych np. u „Emerson, Lake and Palmer”, przeniesione aleatoryczne elementy muzyki klasycznej czy free-jazzu, jednak nie o to przede wszystkim chodził, co zresztą starałem się kilkakrotnie wytłumaczyć moim rozmówcom. W tak młodym zespole powinno się zwrócić uwagę na umiejętności techniczne, zdolności improwizacyjne wszystkich muzyków i na rzadkie zjawisko obiektywnego uświadomienia sobie tychże predyspozycji przez ich właścicieli, a w tym przypadku „M-4” trafił w dziesiątkę. Zbyt często bowiem „z motyką na słońce” wyruszają członkowie grup beatowych.

Przykładem niech będzie „Horrible Dictum” (zapatrzonej w angielską grupę „Deep Purple”), dosyć prymitywnym beatem zagłuszający niezłą wokalistkę. I tutaj tkwi problem nie raz przeze mnie poruszony: podstawą brzmienia grup zachodnich jest najnowsza aparatura z wszystkimi ciekawostkami technicznymi, pozwalająca na najdziwniejsze eksperymenty. Jej wątpliwą cechą i warunkiem dobrego brzmienia jest duża moc, czyli po prostu trudna do wytrzymania ilość decybeli. Jeśli natomiast posiada się aparaturę gorszą

od przeciętnej, nie można bazować na brzmieniu, ale wyważeniem proporcji uwadzić to co najważniejsze — muzyczną dojrzałość członków zespołu. W ten to prosty sposób cały trud wokalistki wymienionej grupy poszedł na marne, jej głos i interpretacja zniknęły w łomocie przesterowanych wzmacniaczy.

Wracając do „M-4”, bo ta grupa była bohaterem przeglądu: pianista Jacek Kasz, od sześciu zaledwie lat grający na fortepianie, wygrał konkurs na najlepszego instrumentalistę. Stosowane układy harmoniczne pozwoliły odkryć autentyczny talent jednego z najzdolniejszych chyba muzyków województwa. Sam zespół zresztą powinien pokazać się raczej na „Jazzie nad Odrą” niż na świdnickim festiwalu. Duża odległość artystyczna, dzieląca „M-4” od pozostałych zespołów, była różnicą zbyt drastyczną, by nie kwalifikować tej grupy może za bardzo entuzjastycznie. I jeszcze Bożena Dąbrowska, recytująca na muzycznym podkładzie wiersze, stworzyła klimat, jaki udało mi się odczuć podczas wykonywania przez Wandę Warszawską słynnych „Pamiętników Bille Holiday”. Stany Zjednoczone — Warszawa — Świdnik. Czyż nie znaczy to bardzo dużo?

Drugie miejsce przypadło w udziale zespołowi grającemu przy

Powiatowym Domu Kultury w Zamościu. Ta placówka zawsze zresztą miała szczęście do talentów, czy to indywidualnych czy zbiorowych. Obok sekcji rytmicznej w składzie znajduje się kwintet smyczkowy. I tu kolejna dygresja, jako że „opisanie” wszystkich zespołów stanowi pretekst do przemycenia kilku ważnych momentów: otóż przed kilku laty, gdy „Skaldowie”, a potem (a tak!) „Beatles” wprowadzili do muzyki beatowej sekcję smyczkową, dało się zauważyć gwałtowne odświeżenie prymitywnego instrumentarium. Gorzej byłoby, gdy wprowadzenie altówek czy wiolonczeli nie miało w aranżacji większego uzasadnienia, ale mniejsza o to. Zespołowi z Zamościa sekcja ta potrzebna była przede wszystkim do realizacji autentycznych motywów góralskich, chociaż — jak wyżej — trudno było mi zrozumieć tak daleko posunięte asocjacje muzyczne, ale jeszcze raz — mniejsza o to.

W zespole zamojskim była jedna postać godna uwagi, skrzypek i wokalista — Jerzy Burda, drugi prezydent do głównej nagrody dla instrumentalisty. Toteż niezmiernie się zdziwiłem, gdy jury przyznało wyróżnienie perkusiście — Kazimierzowi Grymzie, dosyć prymitywnemu (co nie znaczy — złemu) muzykowi beatowemu, operującemu przeciętną techniką, pozbawio-

LIRYCZNE PEJZAŻE

PEJZAŻ rdzawy jest pierwszą książką poetycką Waldemara Michalskiego. Czy można ją nazwać jednak debiutem? Czy przynosi ona wiersze wczesne, oznaczające zaledwie zapowiedź? Informacje o autorze, jakie otrzymał czytelnik na „skrzydłach” książki, dają odpowiedź przeczące. Michalski ogłasza bowiem wiersze od przeszło piętnastu lat, drukując je w czasopiśmie, almanachach i różnych jednodniówkach. Sądząc, iż ogłoszone do tej pory drukiem utwory poetyckie Michalskiego wypełniłyby kilka zbiorów. W tym stanie rzeczy **Pejzaż** rdzawy albo stanowi wybór z dotychczasowej twórczości poety, albo też ukazuje jej ostatnią fazę. W każdym razie jest to sytuacja dla autora niewygodna i krzywdząca, jeśli ze swą pierwszą książką występuje z tak wielkim opóźnieniem, nie może bowiem przedstawić czytelnikowi swego pełnego dorobku. Niełatwo jest też wypowiedzieć się o niej krytykowi, albowiem zdaje on sobie sprawę, iż w **Pejzażu** rdzawym ma do czynienia nie z nieokreślonymi zapowiedziami, lecz znajduje tam utwory, od których wolno mu oczekiwać osiągnięć i spełnień.

Mozna zapytać, czy część winy za przedstawioną sytuację nie znajduje się po stronie poety, czy nie tkwi ona w rodzaju uprawianej sztuki poetyckiej. Wejdźmy zatem w świat, zarysowany w wierszach Michalskiego. Widoczną jego cechą jest pewna dostojność i odświętność, która narzucają już pierwsze zdania tomu:

*Na sandałach, które nazywam rzymskimi
(może już starożytni...) piach co wygrzyzi
stopy apostołom*

Uwaga nawiasowa mówi o dystansie i żartobliwej ironii, jakie częściej u Michalskiego; to prawda, lecz takie motywy jak święci, aniołowie, korona, gotyk, arrasy, Salome (a to tylko wybrane przykłady z określonego kręgu) nadają wyraźne piętno obrazowaniu Michalskiego, sprawiają, iż kontury budowanego świata stają się bardzo wyraziste. Więcej, Michalski chętnie wybiera z zasobu językowego słowa niedzisiejsze, z piętnem archaizmu, a przynajmniej wyrazy o uświęconych znaczeniach i wyrazistej symbolice. W ten sposób stwarza „inność” widzenia, wprowadza obrazy uwzniośnione i odpowzecznione.

Rzeczywistość uwznioślona i sakralizowana znajduje w wierszach Michalskiego swoje przeciwieństwo, mianowicie w obrazach pospolitych, w motywach „niskich”, choć nigdy brutalnych. Te opozycyjne ujęcia łączy się zwykle w obręb jednego utworu. Święci i wróble, „miejsce gdzie tylko purpura i alabaster” i opłotki; podobna dwoistość widoczna jest w wierszu *Narodziny*, niekiedy kontrastują ze sobą całe utwory. Wiersz odwołujący się do obrazów sakralnych nosi tytuł *Erodis*, natomiast łączy się z nim utwór korzystający z

realiów krajobrazu wiejskiego zatyłkowany został *Wyjście*. A przecież oba mają to samo znaczenie.

Poezja Michalskiego zawiera jeszcze inne przeciwstawienia. Bohater jego jest wewnątrznie rozdarty, zawieszony dwoma odległymi od siebie obszarami. Scenerią jego teraźniejszych przeżyć jest pejzaż miejski, miejsce, gdzie jest „wysoko do gwiazd z betonowej studni” i gdzie „płyną strumienie samochodów, a my wdeptani w ziemię”. Otoczenie to jest bohaterowi obce lub wrogie, przynębia go, niszczy i wypelnia jałowością. Stąd w licznych wierszach odrywają się tęsknoty do świata utraconego, w którym „chmielu granie” i „zielone arrasy”, do kraju „zapoznanego”. Może najlepiej sytuację bohatera wyraża *Poteroty*, gdzie dawne pragnienie miasta zostało zastąpione goryczą i rozczarowaniem:

*Wyrzucony z bramy uderzeniem wiatru
wpadam w objęcia betonowych ścian
pół cegiel zaprosza mi oczy
wiedzą w oknie palce zielonych drzew
dokoła gorycz słonca wysoka.*

W poezji Michalskiego daje się odczytać jeszcze trzeci krąg problemów. Mowa była dotąd o wyglądzie świata i stosunku bohatera do rzeczywistości. Otóż pewien zespół wierszy wyraża sprawy istniejące między dwójgłem ludźmi, to co ich dzieli lub łączy; co wynika z konfrontacji dawnych nadziei z teraźniejszością. Rozpiętość między wielkimi marzeniami a wątpliwymi zdobyczami wprowadza do wierszy Michalskiego dodatkowe napięcia dramatyczne.

Wróćmy do pytań postawionych na początku o siłę zawartą w tych wierszach wizerunku poetyckiej. Otóż w **Pejzażu** rdzawym mamy do czynienia z poezją o świadomości zawężonej skali, kameralną i ścisłą, można nawet powiedzieć, skromną i dobrowolnie zubożoną. Zasadą jej jest dyskretne wyznaczenie, przechodzące najwyżej w liryczną inwokację, nie słychać nigdy uniesionego głosu. Niektóre wiersze wydają się raczej notatkami do utworu lirycznego, konspiktem do rozwinięcia, niż skończonymi utworami. Więcej się przemilcza niż wypowiada. Toteż bardzo trafnie pisał o wierszach Michalskiego Andrzej Pałuchowski, że „mamy wrażenie, jakby mówiący do nas człowiek hamował świadomie swoje emocje i swoje żywiołowe racje, skrywał przed nami jakieś uczuciowe i intelektualne rezerwy”. Kto wie, czy dalszy rozwój poety nie wymaga przełamania tej postawy i korzystania z nowszych doświadczeń poetyckich. Uczynił to już Michalski w wierszu *Dostojność rzeczy*.

Waldemar Michalski: „Pejzaż rdzawy”. Lublin 1973. Wydawnictwo Lubelskie. Lubelska Biblioteka Poetycka, tom LXVIII.

Tadeusz Klak

nemu jednak inwencji tak w grze zespołowej jak i w partii solowej. A przecież J. Burda, występując na czymś w rodzaju „jam — session” wraz z „M-4”, potwierdził jeszcze raz swoją wysoką klasę. Jako wokalista obdarzony miłym timbrem, czysto śpiewający — też należał do czołówek w swojej klasie. Ale jury to jak sędzia na boisku sportowym; nawet odtworzenie z taśmy magnetowidu sytuacji konfliktowej nie może zmienić werdyktu. Na szczęście ani publiczność, ani krytyka muzyczna nie utożsamia się prawie nigdy z szanowaną skądinąd oceną szanowanego skądinąd jury. Chociaż pod przyznaniem pierwszego miejsca wokaliście Andrzejowi Denisowi (ale przy słabej konkurencji) podpisuje się z czystym sumieniem.

Osobny problem, któremu chciałbym poświęcić trochę miejsca, stanowią wykonywane często utwory instrumentalne. W *Swidniku* przykładem była grupa „WAND”, przy której występie na gorąco zrobiłem taką notatkę: instrumentalne utwory znajdują uzasadnienie o tyle, o ile muzycy mogą się wykazać bądź wirtuozerią, bądź mają do zaprezentowania jakąś ciekawostkę brzmieniową. Tak na marginesie: w jednym z ostatnich utworów „Skaldowie” powierzyli partię solową gitarze o niespotykanym brzmieniu. Po prostu podłączono instrument do układu nagłaśniającego organy Hammonda i tylko dla nich skonstruowanego.

Ale wracając do tematu: skoro na niezłomnej dwunastotaktowej formie bluesa buduje się kilka nieskładnych chorusów, bez żadnego konkretnego tematu, i nazywa się to „improvizacją”, to jest to tylko oszustwo. A jak trudno skomponować i zaaranżować dobry utwór instrumentalny, ocenić mogą tylko praktycy. Zresztą na zorganizowanym pospiesznie „niby-jamie” można się było przekonać, jak mało mają pojęcia członkowie zespołów

o tworzeniu takich utworów, i jak często błędnie pojmują ideę wspólnego muzykowania (chaotyczne wyżywanie się na instrumentach w skrajnych granicach rejestrów). Wprawdzie to spotkanie poprzedzone zostało znakomitym wykładem Zbigniewa Zastawnego o bluesie i jego elementach, ale też takich wykładów powinni słuchać uczestnicy przeglądu kilka razy w miesiącu. Już podstawowe umiejętności techniczne i teoretyczne w połączeniu z ćwiczeniami pod okiem fachowca przynioszą rezultaty, gdyż obecny poziom festiwalu przerażał ocale niebo to, co słyszałem w *Swidniku* przed rokiem. A to jest najważniejsze.

I jeszcze jedna sprawa, która zwykle pomijana jest przez piszących o nich zresztą (ale traktowanych osobno) napisano już tomy. Niebagatelnym problemem dla wszystkich zespołów jest dobór właściwych tekstów. Bardzo często grupa, nie chcąc wdawać się w konfrontacje z tekściarzami czy poetami, bierze na warsztat twórczość Słowackiego lub Asnyka („WAND” z Puław), tym samym „załatwiają” sobie właściwą ocenę jury. Jednakże tekst poetycki, a zwłaszcza ten najbardziej znany po pierwsze z interpretacji aktorów, a po drugie mający własną, immanentną melodię, linię intonacyjną, nie poddaje się tak łatwo melodyce utworów beatowych. Na to mogli sobie pozwolić obstawieni świetnymi muzykami-kompozytorami Czesław Niemen czy Zbigniew Konieczny. Na to nie może sobie natomiast pozwolić zespół „WAND”. I taka jest cała, najogólniejsza prawda wynikająca z muzycznej sytuacji na *Przeglądzie Zespołów Muzycznych*: do tego, na co może sobie pozwolić krakowska „ANAWA”, dla beatowych prezentacji lubelskich zespołów daleka, bardzo daleka droga.

Sennik egipski

- 8 -

- Dostatek — naciągną cię na pożyczkę
- Dostać prezent — spotka cię niewdzięczność ludzka
- Dowód osobisty — nieprzyjemności
- Dozorca — klótnia, starcie z władzą
- Dowódcą — odpowiedzialna praca
- Dożynki — dobre samopoczucie
- Drabina — trudności z pracą, przeszkody w pracy
- Drabina, wchodzić — poprawa materialna
- Drabina, schodzić — degradacja, pogorszenie materialne
- Drabina stojąca — kradzież
- Dramat w teatrze oglądać — ktoś bliski oszukuje cię
- Draperia — zarozumiałość, pycha przyniesie ci szkody moralne
- Drąg — ratunek przyjaciela w niebezpieczeństwie
- Dratwa — ubóstwo
- Drelleń — uczciwa praca, ale i ciężka
- Drewniak (obuwie) — poznasz prostego, ale uczciwego człowieka, z którym zwiążesz się interesami
- Drewniane narzędzia — zaprowadzisz oszczędności w gospodarstwie
- Drób — niepewny dostatek
- Drób karmić — wesele w domu lub rodzinie
- Drób kupować — kłopoty
- Drób zarządzać — wyżyć się natrętnych gości
- Droga prosta — zdrowie i życie bez zmian
- Droga wyboista, kręta — trudności życiowe
- Droga w górę — powodzenie
- Droga z góry — niespełnione zamiary
- Drogowskaz — dobra rada, która ci zostanie udzielona
- Drożdże — przyrost majątku
- Drukarnia — skromny, a pewny zarobek
- Druk — wezwanie w urzędowej sprawie
- Drut — jednogomyślność w rodzinie
- Drut kolezasty — niewola, smutek
- Drutowany garnek — szczęście rodzinne
- Drzewa ścięte — stracisz stanowisko, pracę lub straty majątkowe
- Drzewo zielone — rozkwit gospodarstwa czy też interesów
- Drzewo kwitnące — miłość w małżeństwie; szczęście w miłości
- Drzewo suche — niepowodzenie
- Drzewo trząść — zysk
- Drzewo rąbać — złe wieści
- Drzewo nosić — straty
- Drzewo owocowe — dobry interes
- Drzewo sadić — pomyślność
- Drzewo — siedzieć na drzewie — bronić swego honoru
- Drzewo, spaść — ośmieszysz się
- Drzazgi — niespodziewani goście
- Drzwi otwarte do wewnątrz — zysk
- Drzwi otwarte na zewnątrz — strata
- Drzwi zamknięte — tajemnica nie zostanie odkryta
- Drzwi skrzypiące — zły człowiek z wizytą
- Drwa rąbać — w majątku szkodę poniesiesz
- Duchowny — spokojne życie
- Dumki śpiewać — tęsknota, oddalenie
- Dumnym być — spotka cię poniżenie
- Dworzec — niedaleka podróż
- Dygnitarza przyjmować — zasługa, zaproszenie na zebranie
- Dym — przemijająca radość
- Dym w mieszkaniu — złodziej
- Dywan — bogactwo w niedalekiej przyszłości
- Dywan tkąć — praca uwieczniona korzyścią
- Dynia — nieprawdziwe wieści
- Dyplom — spotka cię zawód
- Dyplomacja — korzystny ożenek lub korzystna pożyczka
- Dyrektor — korzystne propozycje
- Dyszel — pokierujesz dobrze swoimi sprawami
- Dzbanek pełny — zysk
- Dzbanek pusty — niepowodzenie
- Dzbanek rozbity — w małżeństwie nieporozumienie, w innych wypadkach gniew
- Dzbanek, pić z niego wodę — zdrowie
- Dzbanek, pić z niego mleko — dobre interesy
- Dzikie zwierzęta widzieć — niebezpieczeństwo
- Dzikie zwierzęta zabijać — będziesz potrzebował odwagi, która przyniesie ci szczęście
- Dziadek — spotkasz dawno niewidzianego przyjaciela
- Dziadek do orzechów — niepotrzebne wysiłki w realizowaniu planów
- Działalność ustawiona widzieć — zasadzka
- Działalność w wybuchu — złe wieści
- Dzida — klótnia a nawet bójka
- Dziecko ubrudzone — plotki
- Dziecko tłuste — zadowolenie, szczęście
- Dziecko przy pierści — dobrobyt
- Dziecko w pieluszkach — błogosławieństwo w małżeństwie
- Dzieci bawiące się — szczęście
- Dzieci płaczące — zmartwienie
- Dzieciół — spędzisz wesoło czas
- Dziedzictwo — szczęście i bogactwo
- Dzielić coś — ubytek w gospodarstwie, w interesach
- Dziela pisać — mozolna praca
- Dziergać — smutek z nudów, z próżniactwa
- Dziewanna rosnąca — niespodziewana radość
- Dzień pogodny — radość z powodu dobrych nowin, list
- Dzień chmurny — troski, jakieś niepowodzenie
- Dziewczęta roześmiane — wesoła zabawa
- Dziewczęta smutne — miłość da ci szczęście, zwierzenia...
- Dzień bez zębów — przyjemność skończy się smutkiem
- Dzień bez zębów — śmierć w rodzinie lub przykry wypadek
- Dziękować — nabranie zaufania do ciebie przez otoczenie
- Dzik — dobry zysk
- Dzik uciekający — uwolnisz się od niebezpiecznych gości
- Dzika zastrzelić — przychwycisz kogoś na zdradzie
- Dzika chwycić — radość
- Dziury latać — straty pieniężne
- Dziury w ubraniu — dług
- Dziury w ziemi — zasadzka
- Dzwonnicą — oszczerstwa
- Dzwon słyszeć — dobre wiadomości

ciąg dalszy nastąpi

Kamena str. 13

